

MORZE.

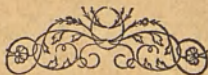
ZJAWISKA I ŻYCIE W NIÉM I NA NIÉM

WEDŁUG NAJLEPSZYCH ŹRÓDEŁ.

OPRACOWAŁ

Fr. Ks, TUCZYŃSKI.

CZEŚĆ III.



W POZNANIU.

NAKŁADEM Dra LUDWIKA RZEPECKIEGO

CZCIOŃKAMI I W KOMISIE W. SIMONA.

1884.



MORZE.

Zjawiska i życie w niém i na niém.

Morze Północne.

Kocięł wody zawarty pomiędzy Anglią, Norwegią, Danią, Szlezwikiem i Holandją nazywa się Morzem Północném, albo téż Niemieckim. Na północ można granice jego położyć na kole biegunowém. Obszar jego liczy się 12,000 mil kwadratowych.

Lubo kanałami Skagerrakiem i Kategatem połączone jest z Bałtykiem, ma jednakże Morze Północne całkiem inne cechy. Zawartość soli jest o wiele większa, a przypyływy i odpływy tu właśnie są bardzo znaczne, tak że różnica wysokości wody jest w przecięciu 14 stóp. Brzegi na południu i wschodzie są tak niskie, że mieszkańcy Holandyi muszą się przeciw zalewom groblami zabezpieczyć. Wzdłuż wybrzeży stoją owe groble z błędnych głazów ustawione, 10, 20 a czasami, jakto np. przy ujściach Wezery i Elby, 40 stóp wysokie. Gdyby nie te groble, powódź zalałaby kraje całe nadbrzeżne i wszystko by pochłoneła. W dawniejszych czasach zdarzało się to bardzo często. Pomiedzy Dortrecht a Gertruidenburg wystąpiło morze i zalało 72 wsie, a kawał lądu, na którym Dortrecht stoi, zamieniło na wyspę. Sto lat można było jeszcze widzieć wystające z wody wieże zatopionych kościołów, a wreszcie gdy wśródku zgniły zapadły się w głębiny. W 13 wieku powstała zatoka Jahde, przy której to sposobności 7 parafii zatoneło. W kilka lat później

rozerwała woda część Fryzyi i utorowała sobie drogę do bardzo obszernego jeziora, dziś połączonego bezpośrednio z morzem, nazwanego Zuidersee. Jeszcze w tym samym, w rewolucyje bogatym wieku, powstał Dollart, a woda zatopiła 1 miasto większe, 2 mniejsze i 50 wsi. W roku 1240 rozerwała i poszarpała woda wybrzeża duńskie, zatopiła wiele kraju, a z reszty utworzyła wyspę. Ale tę wyspę rozmełła i rozdarła roku 1638, przyczém 1356 domów, 6122 ludzi i 50,000 bydła zginęło.

Od czasu kiedy groblami stawiono morzu tamę, szkody takie są rzadsze. Jednakże nie zawsze uda się podolać Oceanowi. I tak 1854 r. rozerwały zdwojone przypływy tamy otaczające wyspkę Vierlanden w ujściu Elby, a mieszkańcy tylko tém uratowali życie, że się zdołali schronić na latarnię morską. Helgoland sporym krokiem bieży ku swemu końcowi; dawniej była ona najmniej sto razy tak wielka. Teraz już tylko sama prawie latarnia na niej się znajduje, a tych kilkanaście osad przy latarni oczekuje lada chwili zagłady. Skała, na której stoi latarnia morska, opiera się wprawdzie, ale fale ustawicznie trzęsą skalistym olbrzymem, podmywają i podkopują go, i zapewne w nie tak długim czasie nastąpi katastrofa, gdzie cała latarnia runie w morze.

Tak to Morze Północne jest groźném dla swych wybrzeży. Najgroźniejszym pozostanie zawsze dla Holandyi, który to kraj leży niżej od poziomu. Większa burza, zdwojony przypływ, natychmiast zatopiłyby wiele kraju, gdyby nie tamy. Zkąd też tamy te są pod bardzo ścisłym dozorem i wszyscy urzędnicy przy nich są przysięgłymi.

Ale i na skały Norwegii wywarło morze wpływ niepośledni. Ze wszystkich wybrzeży na świecie zapewne Norwegia ma najwięcej zatok, przystani i fiordów, które $\frac{1}{4}$ mili szerokie, często zagłębiają się 7—8 mil w głąb kraju. Fiordy są po części bardzo głębo-

kie, nieraz niezgłębione, otoczone niebotycznymi, prostopadle w górę idącymi skałami. Są to drogi prowadzące z dolin otoczonych w koło górami, niby murem; na inny sposób doliny te wcale nie mogłyby być zamieszkałymi. Są tam doliny, niby głębokie kotły, tak ogrodzone skałami, że lubo zarosłe najpiękniejszymi lasami, nie są zamieszkałymi, ponieważ się do nich dostać nie można, i tylko z wierzchołków gór można je pod sobą zobaczyć. Gdzie fiordy dochodzą do takich dolin, zamieniają je w ludne i bogate wsie i miasteczka.

Jednakże pływanie po fiordach jest bardzo niebezpieczne, ponieważ skaliste wybrzeża pełne są kamyków i brył skruszałych, które za najlżejszém wstrząśnieniem odpadają na dół i mogą stać się żeglarzom bardzo zgubnymi. Nawet poruszenie skrzydła ptaka strąca kamyki, które strącają znowu inne, spadają wreszcie całą lawiną i łatwo każdego zgnieść mogą. Takie samo, a może i większe niebezpieczeństwo grozi, kiedy skały te pokryte są śniegiem, który spadszy, żywo śmiałka pogrziebie. A jednakże prawie dziennie muszą je rybacy i inni mieszkańcy nad fiordami przepływać, pierwsi, aby codziennę ułować strawy, drudzy, aby zajrzeć do dobytku pasącego się na wysepkach tysiącami po fiordach rozrzuconymi.

Pomiędzy Szwecją a Danią ogromny, 30 mil długi, a 15—20 mil szeroki Skagerrak łączy się z Kategatem. Oba odbierają wody z Bałtyku przez Sund. Niebezpieczne te cieśniny, mianowicie Kategat, który też na obu wybrzeżach przeszło 20 latarni morskich oświeca. Niebezpiecznym jest nie tylko dla skał i mielizn, ale głównie dla zmiennych wiatrów, które w tak wąskich kanałach rozwinać się nie mogą. Zmienność wiatru mianowicie czyni Kategat postrachem żeglarzy, gdyż doświadczony majtek zna tu najmniejszy gład, najmiejszą mieliznę; ale jakże się tu oprzeć potędze wichru, który pomimo zręczności rzucić może statek na skały.

Z wysp na Morzu Północném, prócz znanéj nam Helgoland, należącój do Anglii, znajdujemy nad wybrzeżami Hollandyi cały szereg wysp pod nazwą wysp fryzyjskich, ciągnących się od Zuidersee aż do zatoki Jahde. Największą z nich jest wyspa Texel. Przy ujściach Renu i Skaldy leży również wiele wysp; są one jednak tylko poczęści wyrżnięte wodami rzecznoimi. Wyżej pod stopniem 60 sz. półn. wyspy Szetlandzkie, a jeszcze wyżej pod 62⁰ półn. sz. Far-øer. Sama Wielka Brytania składa się z dwóch wielkich wysp: Anglii ze Szkocyą i Irlandyi, oraz z dwóch grup: na zachód Hebrydów, na północ wyspy Orkney. Mają one klimat szkocki. Są górzyste, mało zamieszkałe, a wielkie mają znaczenie pod względem ekonomicznym, gdyż tu mieszkają za to: gęś edredonowa i wiele familii fok i psów morskich.

W samym środku Morza Północnego leży obszerna ławica piaszczysta, nazwana Doggerbank. Woda jest tu tylko 20 sążni głęboką. Skagerrak ma w samym środku we wązkim tylko kanale 200 i 100 sążni głębokości. Przy Szetlandach głębia wynosi 300, 200 i 100 sążni. Na wybrzeżach Holandyi w przecięciu tylko 20 sążni. Pomimo tak nierównej głębokości, pomimo strasznych burz, które miotają ustawicznie falami, i jak to rzecz znana, przecięciowo najmniej 1000 ludzi rocznie znajduje tu swój grób, jednakże rzec można, że właśnie to morze najwięcej nosi statków, albowiem wszystkie statki z tak wielkich i handlowych miast, jak Petersburg, Kłajpeda, Gdańsk, Szczecin, Lubeka, Brema, Hamburg, Londyn i t. d., tedy muszą drogę swą odbywać, i statki tedy do tych miast płynąć. Za to téż tutaj właśnie najwięcej latarni i stacyi ratunkowych, a i na wygodnych portach nie zbywa.

9. Morze Śródziemne.

Zewsząd otoczony, ogromny, bo 47,000 mil kwadratowych obszaru zajmujący kocioł wody, słusznie

nazwany został *M o r z e m Ś r ó d z i e m n é m*, ponieważ leży wpośród ziem, jak Europa, Azya i Afryka. Możemy nazwisko to, ile że pochodzi od starożytnych, i do téj odnieść okoliczności, iż dawniej istotnie leżało w samym środku ziemi *n a o n c z a s z n a n é j*.

Nim co więcéj powiemy o owém morzu, objeđmy myślą granicę jego.

Wpływamy z Atlantyku obszerną cieśniną *G i b r a l t a r s k ą*. Po stronie północnej mamy ostatnie kończyny Europy, a po południowej Afrykę. Na europejskiej stronie wznosi się niebotyczna skała, wystająca w morze nakształt przylądku, zwana dawniej u Arabów *G e b r - a l - T a r i k*, z czego powstało *G i b r a l t a r*. Na téj skale zawieszone miasto Gibraltar, silnie ufortyfikowane i ze strony morza niedostępne. 1500 armat ciężkiego kalibru wytyka swe paszcze na wszystkie strony, mianowicie na północną, to jest lądową, z kąd możnaby się łatwiej dostać do miasta. Należy do Anglii od roku 1704.

Naprzeciw po stronie Afrykańskiej wiszą znowu niby jaskółki, na niebotycznych skałach *T a n g e r i C e u t a*, które również spiżowemi paszczami wyglądają na morze.

Starożytni, których wiadomości geograficzne tylko dotąd dosięgały, nazwali strome skały wznoszące się z jednej i drugiej strony cieśniny *s ł u p a m i H e r k u l e s a*, ujmującemi cieśninę 3 mile szeroką.

Jednakże i w starożytności tędy już statki na Atlantyk przechodziły, mianowicie Fenicyan i Kartagińczyków.

Nic nie ma piękniejszego, jak płynąć po nad wybrzeżami Morza Śródziemnego — rzekłbyś, że same ogrody na wybrzeżach. Spotyka się i opoczyste miejsca na wybrzeżach hiszpańskich, ale te kontrastem swym do innych miejsc więcéj oko bawią, aniżeli męczą. Tu przepyszna Andaluzya, tam dalej Walencya zachwycają oko podróżnego. Naprzeciw Walencyi leżą wyspy *P i*

teuzy, czyli wyspy sosnowe, z których Iwiza największa, a Formentera mniejsza; dalej wyspy Balearskie; Malorka jest największą, mniejsza Menorka. Jedne i drugie są dość zamieszkałe, a mieszkańcy, których na wyspach Balearskich jest na 300,000, trudniąc się uprawą wina i owoców tropicznych. Miasto Palma na Malorcie wygląda zdala niby przepyszny ogród. Tutaj poławiają także korale, których około Balearów jest wielkie mnóstwo.

Za Balearami kończy się wybrzeże Hiszpanii, a morze wrzyna się półkołem w kraj francuzki pod nazwą Zatokilwiej (golf du lion). Jeżeliśmy się zachwycali pięknymi wybrzeżami spiekłej miejscami Hiszpanii, to oko nasze zawiśnie zachwycone na rajskich okolicach francuzkich. Tu przepyszny Rodan wlewa swe wody; tam zdala widać już wieże kościołów i czubki masztów... to Marsylia ze swoim wolnym portem, a tam dalej Toulon z portem wojennym. Naprzeciw Toulonu leży grupa małych wysepek, zwanych Hyeryjskimi. Są to nagie skały sterczące z wód morza, kontrastujące swą nagością z bujną, zieloną Provence na kontynencie.

Płyniemy dalej i wpływamy do Zatokigenueńskiej. Jest to kocioł wody niezgłębiony, wybrzeża spadające stromo prostopadle gdzieś w otchłań, w której nawet ani ryba nie żyje. Rzeczywiście też tutaj rybaków nie ma, albowiem ryby na takiej głębii wcale się nie znajdują. Na wybrzeżu zaś Alpy wznoszą swe szczyty wysoko ku obłokom.

Dalej na południe na morzu widna sławna Korsyka, gdzie się w Ajaccio 1769 urodził Napoleon I, zmarły na wyspie św. Helenie. Ale też niedaleko pomiędzy Korsyką a stałym lądem leży wyspa Elba, pamiętna pobytom tego niezwykłego człowieka. Szczyty gór Korsyki sterczą niby ubielone ostrosłupy do 10,000 stóp nad poziom. Należy do Francyi. Tuż przy niej, oddzielona cieśniną św. Bonifacego, leży wyspa Sardynia,

co do klimatu i górzystości równa Korsyce. Brzegi Włoch widne nam ze Sycylii, jeśli myślą chcemy je objąć. Oblęwa je część Morza Śródziemnego zwana morzem Tyreńskim. Najgłówniejszą jest zatoka Neapolitańska, może najpiękniejsza okolica całego świata. Włoch powiada: „Neapol ze zatoką, to część nieba spadła na ziemię. Zobacz ją i umrzyj!”

— Szkoda, lepiejby powiedział: zobacz — i żyj! natenczas miałoby oglądanie Neapolu jakąkolwiek wartość. Rzeczywiście jest też widok czarujący na malownicze wybrzeża, na piękne miasto, na dymiący Wezuwiusz. Ale to tylko z daleka. W środku żebracy i ulicznicy neapolitańscy, zwani iazzaroni, wnet obrzydzą każdemu pobyt tamże, a zgiełk i nieporządek, oraz sztylet gotowego zawsze do zemsty Italczyka, rozczarują przychodnia. Pewien Anglik umyślnie popłynął, aby Neapol oglądać; ale obejrzawszy go z daleka, kazał okrętowi nawrócić i popłynął na powrót do Europy, nie wysiadszy wcale na ziemi włoskiej.

Mijamy zatoki Salerno, Polikastro, Eufemii i wpłynawszy w cieśninę Messina, niedługo ujrzymy w powietrzu poprzewracane domy, okręty, jeziora. Z początku wylękniemy i zastanowimy się; ale wnet przypomni nam się, że jesteśmy w ojczyźnie zjawisk, znanych nam pod nazwą Fata Morgana. Tak, tu właśnie jest ich ojczyzna, tu można dziennie, a nawet co godzina oglądać to zjawisko.

Nie koniec na tém; przeraża nas myśl, żeśmy się właśnie dostali pomiędzy Scyllę i Charybdę. Tu to właśnie ów okrzyczany starożytny wir. Że starożytni wszystko w powiastki stroili, przeto opowiadali, że Scylla była pięknym dawniej dziewczęciem, ale jeden z bogów zamienił ją w smoka o 6 łbach, który je z wody wytykał i okręty przepływające przyciągał do siebie. Tak zaś przeraźliwie wył i ryczał, że żeglarze już go z daleka słyszeć mogli.

Charybdis zaś miała być straszną żarłoczną kobietą, córką Poseidona i Gei. Ona to Herkulesowi miała ukraść kilka wołów Geryona, za co ją Jowisz raził piorunem i stracił w cieśninę. Tutaj ukryta pod drzewem pozerwała wszystko co się do jej paszczy zbliżało.

Obecnie nazywają wir ten w cieśninie Charybda albo Gerofalo, i wcale się go nie obawiają. Podczas spokoju morza wcale go nie znać, dopiero gdy musi walczyć, bądź to z falami, bądź z nadbiegającym przypływem, natenczas wiruje silnie i staje się niebezpiecznym. Zwykle pochwytuje on statki, ale nie wciąga na dno, tylko odrzuca na bok, małe zalévając wodą lub przewracając, a większe wypychając na wybrzeże. Nikt wiru tego jednak się nie obawia, a przynajmniej śmiało z nim walczą. Może być, że w dawnych czasach był mocniejszym, dopiero rewolucye wulkaniczne zmieniawszy formę dna i wybrzeży, złagodziły zarazem gwałtowność prądu.

Wyspa Sycylia, ze swym wulkanem Etna przypomina nam, że tu wrą i działają jeszcze ciągle podziemne ognie; świadkiem mnóztwo wysypek, które nie dawno co dopiero wyszły z łona morza, i jeszcze nie mają roślinności takiej jak inne od nich starsze.

Okrażamy ów „but“ włoski, mijamy zatokę Otranto i przez cieśninę tarentyńską wpływamy wreszcie na Morze Adryatyckie. Umykamy z cieśniny co prędzej, gdyż zarzuciwszy ołowiankę, znajdujemy dno dopiero w głębi 2000 stóp. Im zaś dalej płyniemy po Adryatyku, tém głębia się zmniejsza.

Morze Adryatyckie dostało nazwę od miasta Tusków, które się zwało Adria. Dawniej leżało ono przy ujściu rzeki Po, tuż przy samém morzu, ale rzeki Po i Adyga, znosząc ustawicznie ślam, muł i piasek, zasypały wybrzeże, tak że miasteczko dziś leży daleko od morza w okolicy niezdrowej, bagnistej. Ztąd też jest słabo zamięszkałem i mieszkańcy drugie zbu-

dowali miasto Rovigo, i tam się osiedlili. Aby jako tako mieszkać można, pobudowano długi kanał zwany Bianco.

Nad wybrzeżem, w samej cieśninie tarentyńskiej, znajduje się miasto po stronie Włoch przy Tarento. Tu jeszcze widne obronne wieże, zbudowane ku obronie przeciw korsarzom. Płynąc nad wybrzeżami włoskimi ku północy, widzimy, że od samej prawie cieśniny żelazna kolej idzie nad brzegiem morskim. Tu spotykamy się z miejscowościami bardzo nam znajomemi. A najprzód Brindisi, st. rożytnie Brundisium; dalej po za wyspami Tremiti, Loretto, gdzie cudownym sposobem znalazł się, według pobożnego podania, domek N. P. Maryi, w nocy przez aniołów przeniesiony z Nazaretu. Dalej Sinigaglia, miejsce urodzenia Piusa IXgo papieża. Dalej Rimini i sławna w starożytności Ravenna. Odtąd zaczynają się niskie bagniste wybrzeża. Rzeka Po kilkoma ujściami niesie ślam i mul i coraz dalej morze zawala namulem.

Teraz wpływamy do zatoki weneckiej. Już zdala widzimy z morza wystających mnóstwo pałaców... to Wenecya. Jak Rzym, który założyli pastérze, swego czasu całym zawładnął światem, tak Wenecya, założona przez lud zbiegły przed napływem najezdników w czasie wędrówki ludów, wzniosła się i później wykwitnęła i stała się silną rzecząpospolitą, mającą w ręku handel całego świata. Po za lagunami, czyli grzązkami bagnami i mielizną morską, stoi 130 mniejszych i trzy większe wyspy; na te wyspy chroniła się w przeszłości garstka zbiegłych ludzi. Jednakże zasmakowali oni tak w tych wysepkach i w bezpiecznym położeniu, że chociaż już niebezpieczeństwo minęło, nie powrócili na ląd stały, ale się tu na dobre osiedlili. To był mały początek wielkich rzeczy.

Dla przyzwyczajonego do turkotu i hałasu naszych miast, przedstawia Wenecya arcyosobliwy widok. Nie ujrysz tu ani wozów, ani bryk ładownych, tylko gon-

dole i barki, czyli łodzie od najwykwintniejszych, aż do pojedynczych, że tak powiemy, kanotów dzikich Indyan, wyrąbanych z jednego kłoca. Nie ma tu bowiem ulic ani bruku, tylko kanały zamiast ulic, ożywione pływającymi po nich gondolami i śpiewem wioślarzy. Są prawda i ulice, ale te są tak ciasne, że dwóch ludzi, jeśli mają cokolwiek więcej tuszy, aniżeli potrzeba, już się wyminąć nie może, a dorosły mężczyzna rozkrzyżowawszy ręce, stojąc na środku ulicy, może wygodnie obie strony ulicy dotknąć palcami.

Kanały są ze sobą połączone mostami, których wszystkich godnych uwagi jest 430. Pomiędzy nimi najznacniejszy jest *ponte Rialto*, zbudowany w kształcie łuku bez podpór, zawieszony w powietrzu i długi 187 stóp, a szeroki 43 stopy.

Morze Adryatyckie ma słabe przypływy, ale ma je jednakże. Podczas przypływu wznosi się woda na jedną stopę i więcej. Zatem morze zalewa peryodycznie dziennie laguny i niższe części miasta i okolicy, tak że w czasie przypływu Wenecya tylko domami wystaje z morza. Laguny i bagniska znikają, a na ich miejscu kołyszą się fale morskie. Z odpływem znowu wychodzą na jaw. Przez te bagna i laguny wyprowadzono 11,000 stóp długi wiadukt pod kolój żelazną idącą do Medyolanu. W samej Wenecyi znajduje się 51 publicznych rynków, ale zaledwie zasługują one na nazwę rynków, ponieważ skąpo tutaj ziemi, bo Wenecyanie z każdej piędzi chcą korzystać. Jeden tylko plac św. Marka, ze starożytnym kościołem w stylu bizantyńskim, w którym znajduje się ciało św. Marka Ewangelisty, może sobie rościć prawo do tytułu znacznego placu publicznego. Tu też pełno ludu, tu wieczny jarmark, tu pełno bud, kupców, bogaczy, lazarónów, ciekawych i komedyantów.

Dwie rzeki *Brenta* i *Piave* zasycają swemi wodami zatokę Wenecką. Obie niosą ze sobą ze statków Alp mnóstwo cząstek rozmaitych, które w tak już zamulonej zatoce ustawicznie osadzają. To jest powodem,

że kanały uliczne Wenecyi zamulają się w bardzo krótkim czasie i w pewnych peryodycznych czasach trzeba je pogłębiać bagrowaniem. Nieby to nie było dziwnego, ani dla miasta szkodliwego, i owszem na pogłębianych kanałach mogą i statki się łatwiej unosić i gondole dasadniej szybować. Jednakże tak nie jest, i zwykle cała Wenecya ze drzeniem oczekuje téj chwili, kiedy rozpocznie się bagrowanie, albowiem wtedy napełnia się Wenecya tak choleryczném powietrzem, tak straszonym smrodem, że ludzie delikatnych nerwów mdleją; ztąd na pewien czas — jeśli ich na to starczy — muszą miasto opuszczać. Prócz tego powietrze nasycy się tak gazem siarkowodorowym, że wszystko srebro, nawet najszczelniej zamknięte, traci połysk.

Obszerne, nizkie wybrzeża przy Wenecyi bardzo są odpowiednie do wydobywania soli z wody morskiej. Gałąź tę przemysłu właśnie najwięcej uprawiali Wenecyanie. Rzeczywiście, nigdzie pewnie nie ma tak odpowiednich warunków, jak tutaj, gdyż Adryatyk jest bardzo słony, a wybrzeża płaskie pozwalają na zbudowanie podłogi na ten cel potrzebnej. Wielkie obszary wybrzeża zrównają się tak, aby stały zupełnie równo z poziomem powierzchni morza w czasie odpływu. Owe baseny wykładają się płaskimi płytami kamiennymi, boki okładają się innemi kamieniami, tak że cały przyrządzony obszar ma podobieństwo do otwartego wielkiego pudła, którego ściany wystają wysoko po nad zalów w czasie przypływu i zabezpieczają od strony morza przed falami. W ścianie od strony morza urządzone są upusty, któremi wodę w czasie przypływu wpuszczają do pudła mniej więcej na stopę wysokości, a potem śluzy zamykają. Woda w kamienistém pudle, ogrzewana palącym żarem południowego słońca, wnet wyparuje, a na spodzie pozostaje się gęsta ciecz, podobna do lagru od śledzi. Jednakże tego jeszcze nikt nie wybiera, ale znowu napuszcza się nowéj wody i poddaje parowaniu, przez to pozostała słona masa staje się jeszcze gęstsza. Tak

powtarzają czynność tę do dziesiątego — dwudziestego razu. aż wreszcie pozwalają wodzie wyparować zupełnie. Na dnie pudła pozostanie się brudny osad, pomieszany z porostami, muszlami i innemi przedmiotami, które morze naniosło. Osad ten zbierają potem szuflami i odwożą do warzelni. Tam rozpuszczają wszystko najprzód w czystej wodzie i następnie warzą, z czego wreszcie powstaje czysta, biała sól, jakiej używa się do potrzeb kuchennych.

Opuszczamy Wenecyą, o której tylko tyle uczyniliśmy wzmianki, ile nam zadanie nasze pozwalało, a płyniemy do zatoki Tryestu. Jest to punkt Adryatyku najwięcej na północ wysunięty. Morze tutaj oblewa wybrzeża austriackie. Tryest sam podnosi się ustawicznie, ponieważ port wygodny zwabia tutaj niezliczone okręty. Czém dawniej była Wenecya, tém dzisiaj Tryest. Głównie do podniesienia się Tryestu dopomogło osiedlenie się tutaj towarzystwa pod nazwą Lloyd austriacki. Lloyd jest wyrazem angielskim, oznaczającym giełdę morską. Towarzystwo to, urządzone na podobieństwo angielskiego, ma stosunki z całym światem; opiekuje się flotami, proteguje handel, a statki zabezpiecza przed nieszczęściami mogącemi je spotkać na morzu, jako to rozbicie lub zapalenie się, podobnie, jak towarzystwa na lądzie zabezpieczające od ognia lub gradobicia. Że towarzystwo utrzymuje stosunki z całym światem, dla tego ustawicznie pomiędzy znaczniejszemi miejscowościami świata kursują parowce pocztowe. Miasto samo od strony morza przepyszny sprawia widok; ciągnie się ono nad portem poszarpanym, pełnym wcięć i przystani, blisko na milę drogi, założone u stóp wzgórzy. Morze ma tutaj tylko 66 stóp największej głębokości.

Zresztą charakterystyczną jest, że Adryatyk największą głębokość ma w cieśninie Otranto, gdzie głębia dochodzi do 2000 stóp; im dalej ku północy, tém

morze staje się coraz mielsze, aż przy Tryeście już tylko 66 stóp ma głębokości największej.

Wypada nam teraz zwiedzić wschodnie wybrzeże Adryatyku. Różni się ono bardzo od zachodniego. Podczas gdy zachodnie nie ma zatok ani znacznych przystani, wschodnie jest mocno powycinane; na zachodniem wybrzeżu prócz grupy wysp Termity, które są tylko niebotycznymi niezamieszkałymi głazami wynurzającymi się z łona morskiego, wschodnie wybrzeża zasiane prawie niezliczoną liczbą wysp i wysepek, ciągnących się od półwyspu Istrii aż do przylądku Linguetta. Zachodnie wybrzeże jest płaskie, miejscami bagniste, wschodnie skaliste. Zachodnie włoskie wybrzeże nie ma ani jednej fortecy, gdy tymczasem na wschodniem wytykają działa śpiżowe paszczę z fortecy Pola w Istrii, ze Zara w Dalmacyi, z Cattaro i Budna w Czarnogórze. Zresztą całe wybrzeże nazwaćby można w porównaniu do zachodniego fortecą.

Nim opuścimy Adryatyk, rzućmy jeszcze okiem po za siebie. Jest to obszar wody wynoszący 4000 mil kwadratowych, długi 120, a szeroki 20 do 30 mil geograficznych. Już od niepamiętnych czasów był on ważnym dla żeglugi, ponieważ tu mieszkwały narody, jako to Wenetowie, niżej Grecyi, na półwyspie Włoskim Rzymianie. Wody, burzami aż do dna wzruszane, pełne są ryb pożytecznych, jako to tuńczyków, makreli, serdeli, i węgorzy. Rzadko zabłąka się tutaj jaka z ryb niebezpiecznych. W roku 1879 zabłąkał się tu rekin; nastraszył on nie mało rybaków, zostawił nawet na pamiątkę kły w jednej łodzi, a potem odpłynął sobie na pełne morze, nie wyrządziwszy żadnej szkody.

Tuż od cieśniny Otranto aż do kończyn greckich, to jest do przylądka Matapan, ciągnie się Morze Jońskie, z wyspami znanymi w starożytności. A najprzód Korfu, kanałem od Albanii oddzielona. W starożytności nazywała się ona Korcyra. Na téj wyspie znajdują

się tak wysokie góry, że trzy czwarte roku okryte są śniegiem i lodami. U stóp tych gór zaś rozwija się roślinność tropiczna. Tu winorośla i gaje oliwne jaśnieją najpiękniejszą zielenią.

Począwszy od owéj starożytnéj Korcyry wszystkie wyspy są sławne z historyi greckiej, mianowicie z greckiej mitologii. Nie ma prawie wyspy, któraby w „Odysei“ jakiegokolwiek nie odgrywała roli. I tak tutaj na Korcyrze Odyseusz znalazł gościnne przyjęcie u Alkinousa, króla Feaków, czyli właściwie u córki jego Nausiki.

Niżej znajduje się Paxo, wyspa skalista wulkanicznego pochodzenia. Jest ona wcale nie zamieszkałą, jeśli nie zwrócimy uwagi na kilka chat rybackich. Na tę wyspę lubią czasami zapadać całemi gro nadami przepiórki.

Leukadha albo Santa Maura (starożytna Leukadia) tuż przy stałym lądzie Grecyi, oddzielona kanałem szerokim 200 stóp w miejscu najwęższym, a tak miłątkiem, że można go w bród przebyć. Na niej znajduje się skała leukadyjska, wznosząca się pionowo w górę z morza 200 stóp wysoko. Tutaj przy téj skale grzmi ustawicznie woda o tę skałę i morze tak wre straszliwie, że okręty z wielkim strachem wtedy przepływają. W starożytności znajdowała się na téj skale świątynia Apolina; ku jego czci wyprawiano rocznie igrzyska. Koniec tych igrzysk strącenie jakiego zbrodniarza ze skały w morze, co miało tutaj tyle znaczenia, ile kozień ofiarny u Izrealitów, wygnany na puszcza. Strąconemu zbrodniarzowi powierzono symbolicznie grzechy przytomnych i z tymi grzechami zrzucano go z owéj skały. Jednakże zbrodniarz strącony nie tracił przez to życia, gdyż zawieszono na nim rodzaj płaszcza, sporządzonego ze skrzydeł ptasich. Na dole pod skałą stały już łodzie umyślnie na to ustawione, w które wolno spadającego chwymano.

Kefalonia (Samos), przetrzięta łańcuchem gór, zwanych czarnymi, pełną jest winnic. Tu ztąd pochodzą małe rodzenki, zwane także koryntkami. Są to jagody winne ususzone.

Pomiędzy Kefalonią a lądem stałym znajduje się wysepka Theaki, starożytna Itaka, ojczyzna sławnego po wszystkie wieki mitycznego Odyseusza. Okolica na téj wyspie bardzo rozmaita; to dzikie skaliste wąwozy, tam znowu najpiękniejsze winnice i ogrody. Rzadko zdarza się, aby tak mały kraik mógł tak być urozmaicony.

W pobliżu, więcéj na południe, wrzyna się morze długim, wężykowatym językiem w ląd stały i tworzy zatokę koryncką, zwaną zatoką Patras. Tu nad owym wązkim językiem wody leży stary Korynt, na wązkim przesmyku lądowym. Zatoka tu odcina wielki kawał lądu, który tylko owym Korynckim przesmykiem z kontynentem połączony, tworzy dla siebie zupełnie osobną ziemię. To ów w starożytności sławny Peloponez, zwany dzisiaj półwyspem Morea. Korynt zaś pamiętny nie tylko ze starożytnej historii, ale i pamiętny śmiercią jednego z największych angielskich poetów, Lorda Byrona, który tutaj 1824 zakończył życie. We dwa lata potem zdobyli Turcy miasto po długim oblężeniu i rozpaczliwej obronie. Turcy oczywiście nie oszczędzili niczego, ztąd miasto to podupadło, a r. 1858 straszne trzęsienie ziemi zadało Koryntowi cios ostateczny. Dzisiaj Grecyja znowu wolną i zapewne Korynt znowu się podniesie.

Przy wchodzie do zatoki niedaleko od Kefalonii, leży wyspa Zainte, dawna Zakynthos, jedna z najżyźniejszych i najpiękniejszych okolic na świecie. Cała jest tak bujnie pokryta kwiatami, że morze w koło na dalekie przestrzenie wonieje aromatem. Nazywają téż tę wyspę „kwiatem Lewanty“. Znajdują się na niej źródliska nafty.

Od południowych kończyn Grecyi, aż do Azji mniejszej ciągnie się półkołem pasmo wysp, które przecinają morze, tworząc granicę tak zwanego Morza Egejskiego, albo zwanego także Archipelagiem Greckim. Archipelag znaczy zbiorowisko, grupa wysp. Rzeczywiście też morze zamknięte z południa wspomnianém pasmem wysp, z północy Rumelią i Tracją, ze wschodu Azyą Mniejszą, a ze zachodu Grecyą, jest całkiem zasiane wyspami. Niepodobieństwem byłoby powiedzieć coś chociaż o setnej wyspie, dla tego ograniczamy się tu na kilku tylko, i to wybierzemy sobie te, które najwięcej mają dla nas interesu.

Kandia, starożytna Kreta, którą Turcy przechrzcili na Kirid. Jest ona 36 mil długa, a szeroka rozmaicie, raz 3 tylko, a w innym miejscu 10 mil szeroka. W samym środku wznosi się szeroka góra zwana Ida. Ze strony północnej, jako dostępniejszej, 4 fortece Canea, Retimo, Candia i Mirabella strzegą przystępu. Szkoda tylko, że gospodarka turecka przyczyniła się do upadku kultury, jaką Kandia już słynęła w starożytności. Na 200 mil kwadratowych żyje ledwo 100,000 mieszkańców, a i ci jeszcze z trudnością mogą się wyżywić.

W Morzu Śródziemnym, a mianowicie koło Kandyi, znajduje się pewien artykuł handlowy, znany każdemu, ale rzadko kto wie z kąd on pochodzi, i czém on jest właściwie. Jest to gąbka, używana do mycia, kąpieli, ściągania, i do tysiącznych innych potrzeb. Gąbka (spongia) jest to mieszkanie drobnych polipów. Polipy te jednakże tak niski i niewykształcony mają organizm, że z trudnością ledwo można rozpoznać znaki życia, które wydają, a które zdradzają, że należą do zwierząt. Rośnie na dnie morza, niby pleśń, niby grzyby. Mieszkańcy tamtych stron zbierają owe elastyczne tkanki polipie, napełnione cieczą galaretową; wycisnąwszy ciecz, oczyściwszy gąbkę, zawieszają ją na

sznurach i suszą. Sposób wydobywania z morza jest dwojaki. Najłatwiejszy, jeżeli ściągają je widłowatemi hakami, któremi gąbkę od dna odrywają, a potem wyciągają do góry sznurami. Ale na ten sposób wydobywane nie mają tyle wartości, ponieważ zwykle, a przynajmniej najczęściej, są uszkodzone. Najlepsze są te, które nurki z wody wynoszą. Jest to mozolna i niebezpieczna praca. Zwierzęta w gąbce, czyli właściwie sama gąbka, umie się też bronić; posiada ona jakąś siłę, skutkiem której nurki dostają w ręce kurczy, skoro je od dna odrywają. Ztąd nieraz wyciągają biédaka na pół nieżywego.

Ponieważ gąbki coraz więcej z morza ubywa, przeto podjęto myśl rozsadzania. Wiadoma, że robaki, polipy i inne zwierzęta na niskim stopniu zwierzęcego rozwoju stojące, mają wielką siłę żywotną i z jednego zwierzęcia można mieć kilka, skoro się je potnie, gdyż każda cząstka zrasta się i wykształca na nowe zwierzę. Ztąd i owe gąbki rozdarto na drobne rozsadki, zaszczepiano w morzu.

Nad wybrzeżami Grecyi znajduje się grupa wysp: Cyklady, których razem znajduje się około 60 pojedynczych, większych i mniejszych, zajmujących razem 49 mil kwadratowych. Pomiedzy nimi wyspa Paros, będąca wielką górą czystego marmuru, bieluteńkiego jak kréda. Wyspa ta dostarczała marmuru na bardzo wiele sławnych pomników i dzieł sztuki. W niej położony jest ogromny kapitał. Tuż zaraz na zachód leży mniejsza wysepka Antiparos, ze sławną grota. Nie ma piękniejszego, a większe wrażenie na widzu sprawiającego kościoła, jak owa grota, jest bowiem 180 stóp wysoka, 350 stóp długa, a 200 stóp szeroka. Ściany jej są białym marmurem wyłożone, a od sufitu spuszczają się na dół olbrzymie stalaktyty, tworząc filary i kolumny, niby z kryształu. Stalaktyty są to ścieki. Woda zaczyna z góry na dół kroplami się

spuszczać i skapywać. Że jednakże ma w sobie wiele cząstek mineralnych, przeto te osadzają się, bądź to na dole, bądź to u góry. Z wiekami powstają na ten sposób wielkie kolumny. Tutaj znajdują się jeszcze po bokach mniejsze groty i jaskinie, zasłonięte do połowy przejrzystym marmurem, co sprawia widok, jak gdyby były zakryte zasłoną. Dziwna rzecz, że ową grootę dopiero w nowszych odkryto czasach, a starożytni nic o niej nie wiedzieli. Tłómaczy się to tém, że wniście do niej jest nie znaczne, a bardzo niebezpieczne.

Nad wybrzeżami Azji Mniejszej rozciąga się druga grupa, pod nazwiskiem Sporady, to znaczy wyspy rozrzucone. Wszystkie są wulkanicznego pochodzenia i mają wysokie góry. W dolinach jednakże są żyzne, chyba że wody nie dostaje. Pomiedzy niemi znajduje się Pathmos, gdzie Jan Ewangelista pisał swe Objawienie; do dziś pokazują grootę, w której mieszkał. Chios (Scio) pamiętna okrucieństwem Turków. W roku 1822 wpadł tam wielki admirał turecki (Kapudan-pasza) z flotą i sprawił pomiędzy mieszkańcami rzeź straszliwą. Wymordowano 70,000 ludzi, a 40,000 sprzedano w niewolą. Ta o pomstę do nieba wołająca zbrodnia nie mogła ujść bezkarnie. Mieszkańcy tuż przyległej wysepki Ipsara zaprzysięgli zemstę. Upatrzywszy dogodną chwilę, wśliznęli się pomiędzy turecką flotę, zapalili okręt admirałski, który się spalił do szczytu, a z nim morderca Kapudan-pasza i 200 zbirów tureckich.

Po za Cykladami ku północy rozkłada się długa a wązka wyspa Negroponte, albo Egripa albo Euboea. Długość jej wynosi mil 24, ale wszérz ma miejscami 6, a miejscami ledwo 1 milę. Z niej widny na greckim Kontynencie okrzyczany Parnas, czyli góra z mieszkaniem Muz. Sama wyspa jest nader piękna i żyzna; tworzyła ongi dla Aten śpichlérz zbożowy.

Jak Archipelag poszarpany jest wyspami, tak i wybrzeża lądowe poszarpane są zatokami i przystaniami. Niezliczona ich ilość znajduje się tak po stronie europejskiej, jak po stronie azyatyckiej. Obszerna zatoka wrzyna się w Macedonię, a ma nazwę zatoki Salonickiej. Tu ztąd niedaleko 10,000 stóp wysokiego Olympu, owego mieszkania bogów starożytnych Greków, naprzeciw prawie, po stronie azyatyckiej, otwiera się zatoka Smyrneńska. Miasto Smyrna, najznacniejsze w Azji Mniejszej, liczy 150,000 mieszkańców i jest głównym punktem handlowym. Przepyszny widok już zdala na owe miasto, z którego wystają w górę wieże i wieżyczki — minarety i kopuły, białe i płaskie dachy, dziwnie kontrastujące obok okrągłych kopuł. Wewnątrz zaś obok przepychu brud i nieschludność oryentalna. Oto jak opisuje wrażenie z pobytu w Smyrnie ks. Dorszewski: „Puściliśmy się — roku 1872 — przez miasto najprzód wyższe, machometanśkie, a potem niższe, więcej mieszane, ale głównie z europejska greckie. Po ciasnych, krętych, brudnych, pełnych śmieci i błota uliczkach i zaułkach, często sklepionych, po bruku nierównym, pełnym dołów, w środku do śmieci i ścieków źle zagłębionych, wśród tłumu ludzi, wielbłądów, osłów, koni, z niebezpieczeństwem połamania rąk i nóg, obalenia się w błoto, najechania przez przeciskające się w przeciwną stronę karawany — przedostaliśmy się szczęśliwie do bazarów. Bazary, to najinteresowniejsza część każdego miasta wschodniego. Można w nich dostać wszystkiego i widzieć wszystko. Bazary zajmują całe, długie, ale wąskie ulice. Ulice te są po największej części kryte rozmaitemi dachami, najwięcej deseczkami lub rogożami; nie ma w nich słońca, ale od biędzy widzieć można. Po jednej i po drugiej stronie rozpostarszy kupcy swe towary, siedzą na dywanach lub rogożach, palą fajki jakby nieruchome posągi, nikogo do kupna nie zapraszając, nie przynaglaając. Robotnicy publicznie wyko-

nują swe roboty. Jadła warzą otwarcie w obec wszystkich przechodniów; zarabiają ciasto, pieką chleb i placki, tak iż w każdej chwili można je mieć wprost z pieca świeże, jedzą i piją. Całe szeregi młodych i starszych próżniaków obnoszą słodyczne, owoce, jarzyny ryby i. t. d., na całe gardło wrzeszcząc, rozprowadzają czém publiczność uraczyć pragną. Chłopcy czyhają na drodze na obuwie, i gwałtem prawie chwytają za nogi, aby je oczyścić za tanie pieniądze. Tam golą publicznie. Oglądasz się, aż tu psiska wychudłe, mizerne, kaléczne, jedne gonią drugie, gryzą się i walą się gwałtem na ciebie. Uciekasz, a oto ledwieś się przez innego, spokojnie w kierunku twego ruchu leżącego psa, nie obalił. Jeszcześ nie ochłonął ze strachu, wchodzi wielbłąd na ciebie — bo nawet ulicą bazarową, mimo ścisku, snują się karawany, i to obładowane ogromnemi skrzyniami, osły i muły z drzewem, z owocami w koszach po obu stronach zawieszonemi. Lada chwilę niebaczny przechodzić może być przyparty do ściany bazaru, a nawet skalęczony; nieraz téż co prędzej nawet do składu uciekać trzeba, aby uniknąć guza, a nawet i śmierci, bo zwierzęta krocą naprzód, nie pytają o nic. Zostaje po nich miérzwa i błoto; śmiecie leżą wszędzie; nie rzadko spotkać zdechłego psa lub kota, a nawet resztki szkieletów padłych zwierząt większych. Hałas, turkot, wołanie: garda! (tj. baczność) — rozbijanie się, ustępowanie ciągle, ścisk i pisk — oto obraz bazarów Smyrnenских.

Miasto dolne jest nieco porządniejsze. Ale i tu prawie jest wszystko orientalne. Domy mają dachy płaskie, z wyjątkiem nowszych. Ulice są ciasne, kręte, często kryte, niekiedy kończące się zupełnie zamurowaniem, lub kratą żelazną, która zamyka się na noc — istny labirynt dla obcego, w którym się niepodobna zorientować. Zewnętrzność domów nic, albo mało obiecująca; ale jeżeli przez uchylone drzwi spojrzysz w głąb, wtedy spostrzeżesz śliczne krużganki, pyszne

ogródki pomarańczowe, cytrynowe, figowe drzewa i wzorowy porządek. Na zewnątrz o porządek nikt się tu widocznie nie stara.

Nie ma tu wozów, bo nie ma dróg po temu, tylko wydeptane ścieżki. Widzieliśmy tylko jeden wóz dwukonny, jakoby dorózkę, za miastem — w mieście kilka wozów dwukólnych.

Port od lądu mizernie zaopatrzony, jak wszystko w Turcyi; bulwark co kilkadziesiąt kroków zabudowany i przecięty, tak iż całemi ulicami do najbliższego miejsca obchodzić trzeba. Za to żądają przy wylądowaniu paszportów, oczywiście nie w celu kontroli, tylko aby złowić łapówkę (bakczysz), gdyby paszportu nie było.

Tak jest na całym Wschodzie“.

Oto jest obrazek oryentalnego miasta; wcale on nie zachwyca. Miasta oryentalne są piękne i bawią oko, ale trzeba im się przypatrzeć tylko z daleka, aby się nie rozczarować.

Opuszczamy teraz Archipelag i wracamy nad wybrzeża Azyi do Morza Śródziemnego, aby znowu dostać się napowrót do miejsca, z kąd rozpoczęliśmy wyprawę, to jest do Gibraltaru.

Nad wybrzeżem Azyi, w miejscu gdzie morze wyłobito wielkie wcięcie leży wyspa Cypr. Prześliczna ta wyspa należała aż do 1879 do Turcyi, w którym to roku na mocy dyplomatycznych traktatów przeszła w ręce angielskie. Jest nadzieja, że Anglia potrafi zagoić rany, jakie tej krainie zadała gospodarka turecka. Wyspa Cypr — zwana dawniej *Amathousia* lub *Paphos*, — była aż do 1571 udzielném królestwem; dopiero tego roku Turcy ją zdobyli i zaczęli swe staranie o dobrobyt nowych swych poddaanych od tego, że zamienili całą krainę w pustynią. A jeżeli gdzie, to właśnie na Cyprze są wszystkie warunki, zdolne człowiekowi raj stworzyć. Tu Ojczy-

zna naszych kalafiorów i cyprysów. Drzewa oliwne udawają się tu przewybornie, a chléb świętojański daje tu mnóztwu ludzi utrzymanie, gdyż go rocznie do 90,000 centnarów produkują. Ale Turcy i z tego umieli korzystać; obłożyli oni drzewa chlebowe ogromnym podatkiem, tak że ludzie z rozpacz... powycinali drzewa. Zapewne Anglia postara się teraz o lepszą dolą dla swych poddanych, których zyskała bez strzału i krwi rozlew.

Od Cypru przedstawia nam się ląd stały Azyi; to wybrzeża Syryi i Palestyny. Nie podobna przepłynąć, aby nie zwrócić oczu na miejsca, z kąd wyszło świata Zbawienie, gdzie się odegrał dramat krwawy, w którym sam Bóg miał udział, a z którego nieobliczona dla świata wynikła korzyść. Niepodobna nie zwrócić oczu na miejsca znane każdemu, bo dziecku nawet, które już Pismo święte słyszało. Płyniemy tak nad wybrzeżem téj Ziemi Świętej, rozpominając sobie cały żywot Zbawiciela, a tymczasem miasta jedne po drugich mijają. Tu pamiętna Sarepta, dalej Tyrus, a potem Akka, zwana także Ptolemaïs, Acre, Akarru lub Ako. Po za nią morze wrzyna się w ląd, a dalej wysuwa się przylądek Karmel. Płyniemy dalej, aż zawi-
jamy do Jaffy.

Nie zawsze można tu wpłynąć bezpiecznie do portu, ponieważ właśnie w tém miejscu prądy się krzyżują, a fale tak się rozbijają, że niepodobna ich przebywać. Zdarza się często, że okręty w czasie wichrów muszą płynąć do Egiptu, do Port Said, i tam czekać na stósowną porę, aby się dostać z powrotem i wpłynąć do portu w Jaffie. Nie można jednakże okrętami zawinąć aż do samego brzegu, ale piloci i barkarze miejscowi wypływają z łodziami naprzeciw i podróżnych przywożą na ląd. Jak się zaś delikatnie z podróżnymi obchodzą, opowiada nam znowu Dorszewski. „Barki — powiada, z niebezpieczeństwem zawsze oczekując pomyślnego prądu, wdzierają się pomiędzy ska-

łami ku brzegowi, a są przypadki, że wraz z podróżnymi toną. Barkarze są wprawdzie wprawieni do tych przepraw, ale za to natarczywi, zuchwali, niesumnienni; opodal brzegu, który jest miałki, biorą biednego wędrowca, nim się ten spostrzeże, na plecy, i wyrzucają wraz z rzeczami na piasek, albo w pośpiechu, jak i mnie, we wodę. Cóż im za to zrobić? Policji tu nie ma, a nimbyś się wziął do kija, oni już odpłynęli napowrót ku statkowi po nowe ofiary.“

Płyniemy dalej i dopływamy do granicy pomiędzy Azyą a Afryką. Na samém pograniczu rozkłada się przed nami wygodny Port Said. Od niego ciągnie się granicą azyatycko-afrykańską sławny kanał Suez, przekopany i otwarty roku 1869.

Piętnaście mil od Morza Śródziemnego zaczyna się Morze Czerwone, które znowu cieśniną Bab-el-mandeb styka się z Oceanem Indyjskim. Oczywiście, że gdyby udało się owo wąskie przekopać międzymorze, natenczas możnaby drogę do Indyi i Oceanu Spokojnego ukrócić niesłychanie; okręty jużby wtedy nie potrzebowały narażać się na niebezpieczeństwa połączone z opływaniem Przylądka Dobrej Nadziei. Nic tedy dziwnego, że od bardzo dawnego czasu noszono się z myślą przekopania międzymorza i połączenia wód Morza Śródziemnego z wodami Morza Czerwonego kanałem, któryby mógł i większe unieść statki. Do tego przedsięwzięcia skłaniała nawet ta okoliczność, że już w dawnych wiekach istniał rzeczywiście kanał, ale ten zaszedł, zamulił się i piaski go całkiem zasypały. Było to roku 1300 przed nar. Chr., kiedy Ramzes II, król egipski, rozpoczął przekop, a dokończył go Daryusz Hydaspes. Jeszcze w 14. wieku można go było używać, lubo tylko dla małych statków i to szczególnież wiosłowych. Później piaski go całkiem zasypały. Aczkolwiek uznawano korzyści kanału, jednakże nie kwapiono się z wykonaniem pomysłów, ponieważ wzdrygano się na ogrom

pracy. Łatwiej bowiem było dawniej Ramzesowi lub Daryuszowi spędzić setki ludu i stawić nad nimi urzędników z batogami, aniżeli w teraźniejszych czasach wystąpić z kapitałem kilkudziesięciu milionów talarów. Zresztą w 17 i 18 wieku przekop nie obiecywał nadto wielkich korzyści. We wiekach dawniejszych okręty były urządzone do wiosłowania, więc czy to cisza, czy pod lub w bok wiatru, mogły wygodnie płynąć swoją drogą. Nie tak okręty żaglowe, które nastały w miejsce wiosłowych. Mogłyby one z korzyścią użyć kanału, gdyby wiatr dał z tyłu, czyli gdyby płynęły z wiatrem, albo też z półwiatrem w danych jeszcze warunkach. Całkiem byłyby skazane na wypoczynek, gdyby wiatr był przeciwny, albo z przodu pod ostrym kątem, w których to razach lawirować muszą na morzu, a kanał byłby oczywiście do tego za wązki. Tak samo podczas ciszy.

Gdy nastały okręty parowe, zmieniło się zapatrywanie i obudziła się chęć do kopania kanału. Ale tu znów wzdrygała się sama myśl na ogrom pracy i nakładów. Kanał bowiem nie tylko że musiałby być kilkukilometrowym długim, ale trzeba go było kopać w miętym piasku. Więc według wszelkiego prawdopodobieństwa byłoby nocą to się zasypało, co by w dzień wykopano. A zatem trzeba było cały kanał wymurować. Prócz tego bródziła w projekcie przekopu mianowicie Anglia. Miała ona też do tego słuszne w swym rodzaju powody. Wszystkie bowiem statki, które płynęły z Morza Śródziemnego na Atlantyk, musiały w Cieśninie Gibraltarskiej opłacać wysokie cło; gdyby przekop się udał, natenczas okręty obierałyby krótszą drogę przez kanał, a Anglii odpadłby bardzo znaczny dochód.

Pomimo wszelkich trudności udało się francuzkiemu inżynierowi Ferdynandowi Lessepsowi związać w roku 1846 towarzystwo z kapitałem 45 milionów talarów, które w roku 1854 otrzymało pozwo-

lenie wicekróla egipskiego S a i d a do rozpoczęcia prac około przekopu. Teraz rozpoczęto prace przedwstępne, które całe pięć lat zajęły czasu. Właściwe rozpoczęcie kopania odbyło się roku 1859, a skończyła się cała praca 1869, którego to roku uroczyście w obec wielu głów ukoronowanych kanał otworzono.

Ciągnie on się lądem, z wyjątkiem kilku głębokich jezior, przez które kanał przeprowadzono. Długość jego wynosi 165 kilometrów. Nie jest on na świecie największym, ani najdłuższym, ale najkosztowniejszym, i budowanie jego z największemi trudnościami było połączone. Zresztą różni się on od innych kanałów tém, że nie utworzono tutaj rowu, łączącego rzeki z rzeką, po którym pływają flisy, tratwy i galary, ale utworzono odnogę morską, zdolną unieść wygodnie i największe statki wojenne.

Takim jest kanał suezki.

Płynąc trafiamy na trzy miasta nad ujściami Nilu, są to Damiette, Rosette i Aleksandrya; w pobliżu Aleksadryi znajduje się wyspka Faros, która pierwsza na świecie miała wielką wieżę, służącą za latarnią morską. Pomiedzy Aleksandryą a Rosettą leży miasteczko Abukir ze zatoką tego imienia. Tutaj 1798 pobił na głowę Nelson, admirał angielski, flotę francuzką, którą dowodził admirał Bruyes.

Wybrzeża afrykańskie zupełnie się różnią od wybrzeży europejskich, lubo nad jedném i tém samém leżą morzem. Podczas kiedy Europa poszarpana, wyżłobiona, z niezlicznemi zatokami i przystaniami, Afryka nie ma portów, ani zatok, z wyjątkiem dwóch: Wielki i Mały Syrt.

Naprzeciw Sycylii wysuwa Afryka swą kończynę, zwaną przylądkiem Bon, ku tej wyspie, jakby się z nią zetknąć chciała. W tém miejscu morze ma ledwo 12 mil szerokości. Niżej Sycylii leży wyspa Malta ze silną fortecą i a Valette, należącą do Anglii. Tutaj ma swą siedzibę zakon kawalerów Mal-

tańskich. Dawniej nazywali się oni kawalerami Św. Jana i mieszkali na wyspie Rodus, ale ztamtąd r. 1530 wygnani, usadowili się na Malcie, gdzie dotąd mieszkają pod nazwiskiem kawalerów Maltańskich. Sama wyspa jest skałą wysoką, stromo z morza wystającą i tylko na kilku miejscach dostępną. Nie ma na niej gór, tylko równina płaska pod najpiękniejszém włoskiem niebem, gdzie wieczne panuje lato z rajskim klimatem.

Nad brzegami Afryki trafiamy dalej Tunis, miasto należące do kraju Tunis, pod bejami, czyli udzielny mi władzcami będącego. Bej Tunisu trudnił się dawniej nader korzystnym rzemiosłem, bo był poprostu korsarzem, ale Francya położyła wreszcie koniec jego zbójckim napadom.

Dalej ciągną się wybrzeża Algieru, kraju należącego do Francyi, ze silną fortecą Algier. Odtąd już nie ma nic znacniejszego, i wracamy napowrót do Cieśniny Gibraltarskiej, odbywszy podróż po Morzu Śródziemném.

Nim opuścimy Morze Śródziemne, konieczn ie potrzeba nam pomówić o zjawiskach na niem, któremi są wulkaniczne objawy, jakie tu zachodzą.

Że Morze Śródziemne powstało z czasem dopiero i że pierwotnie go tam nie było, o tém świadczy wiele okoliczności. Zdaje się, że w tém miejscu, gdzie teraz fale się przewalają, była dawniej obszerna płaszczyzna, lub głęboka dolina. Dopiero skutkiem rewolucyi wulkanicznych Sahara wyszła w górę i przelała swe wody na dzisiejsze Morze Śródziemne, a sama swe dno poddała działani a promieni słonecznych. Na Saharze bowiem skały zupełnie są podobne skałom morskim, obmywanym przez wieki falami; znajdują się na niej muszle i szczątki zwierząt tylko w morzu żyjących, a nawet piaski są solą przesiąknięte, tak że często dokopawszy

się do wody, znajdują ją słoną. Nawet znajdowano szczątki okrętów głęboko pod powierzchnią piasku.

Już Eratostenes zwrócił na to uwagę i dzisiaj uczeni całkiem jej nie odrzucają. Są podania o kilku po sobie następujących potopach na tém miejscu. A zatem może najprzód przelało się morze Sahary w doliny, ale nie zupełnie je zalało. Później rozerwał się przesmyk, gdzie dzisiaj Gibraltar i Ceuta, a Atlantyk dokonał dalszego zalewu. Ale na tém nie koniec. Na wschodniej stronie Morza Śródziemnego leży: Morze Czarne, Kaspijskie, a dalej jezioro Aral. Zapewne wody te swego czasu stanowiły razem jedno morze. Rzeki ze stoków Himalaja i z gór europejskich nasycaly ustawicznie to morze, ale téż znosiły ślam, muł i piasek tak, że z czasem dno podniosły o tyle, iż z Morza Czarnego musiały się wody rzucić w doliny Morza Śródziemnego, przez co wyłobiły Bosfor, Morze Marmara i Dardanele, porozrywały lądy dzisiejszego Morza egipskiego i utworzyły archipelag wysp. Mając odpływ, ustąpiły wody aż do najniższego i odkryły lądy pomiędzy Morzem Czarnem, Kaspijskiem i Uraliskiem, tak że dzisiaj tworzą osobne baseny.

Wszystko to było po części skutkiem przewrotów wulkanicznych. Wody które wpływają do Morza Śródziemnego nie mogły nigdy podnieść jego powierzchni do dzisiejszej wysokości — nie mogły więc utworzyć morza. I morze Czarne mało co pomogło do podniesienia się wód, a nigdy tyle, aby morze Śródziemne zdołało rozerwać słupy Herkulesa — raczej rozlałyby się były po wybrzeżach. Zresztą prąd wody z Atlantyku wali się do Morza Śródziemnego, a nie odwrotnie. Ściany skał Gibraltaru i Afrykańskiej Ceuta dziwnie są sobie podobne, tak że nie można nie wpaść na przypuszczenia, że te dwie ściany były dawniej spojone i że się tylko rozszczepiły. Więc nie mogło morze wyłobić przejścia, gdyż byłyby musiały pozostać ślady wymienia, a nie rozerwania.

Morze Śródziemne jest do dzisiaj widownią przewrotów wulkanicznych, nie tylko trzęsień ziemi i morza, ale i tworzenia się nowych lądów i znikania dawnych. Na dowód przytoczymy kilka przykładów.

Już w starożytności musiały tutaj dziać się przewroty, ponieważ Pliniusz pisze, że wyspy często z morza wyrastały. Prócz tego utrzymywało się przekonanie pomiędzy starożytnymi, że siły wulkaniczne stały się przyczyną zatopienia lądów. Zapewne oderwanie się Euboei i Cypru od stałych lądów było niczem więcej, jak przewrotem spowodowanym siłą wulkaniczną.

Wyspa Hiera wyszła z łona morza. Podczas tego przez cztery dni miały płomienie buchać z wody, tak, że morze gotowało się na około i syczało przerażliwie. W końcu zwolna wyrosła wyspa, na której Rodyjczycy zbudowali później Neptunowi świątynię.

Wyspa Santorin doświadczyła bardzo wiele takich wulkanicznych przewrotów. W około niej powstały nowe wyspy przy podziemnym grzmocie, trzęsieniu i wybuchu ognia. Ona sama nawet rozpekła się roku 233 przed nar. Chr. Po niejakiem czasie po owém wydarzeniu wyrosła wyspa z morza; w 16. wieku nawet dwie, inna roku 1750. Ostatnia wysunęła z głębi 400 stóp. Ogień wybuchał ze wzburzonych fal morza i ciskał płomieniami rok cały. Wreszcie utworzyła się obszerne wyspa około wulkanu, który z wielką siłą huczał, grzmiał i ciskał w góry mnóstwo gruzu i popiołu.

Na inném miejscu przy Santorin zaczęło roku 1650 grzmieć i huczeć pod ziemią; płomienie buchnęły z wody, a morze spiętrzyło się na dziesięć sążni w górę. Od dnia 24. Września aż do 9. Października tak morze wrzało, tak płomienie buchały i tak silnie podobny wulkan wyrzucał głązy i kamienie, że nawet w Konstantynopolu i Smyrnie spadał pumex, a przy Kan-

dyi spadające głązy rozstrzaskiwały okręty. Wreszcie po czterech miesiącach ujrzano wysuwającą się wyspę nową z morza. Przez 6 lat buchały jeszcze płomienie z wody

Czasem i bez strasznych wybuchów grunt morza wychodził na powierzchnię. I tak 23. Marca 1707 roku ujrzeli mieszkańcy na Santorynie, że w zatoce coś pływa. Kiedy jednakże podpłyniono, okazało się, że to była skała, która zwolna do góry się wysuwała. Ponieważ wszystko odbywało się spokojnie, przeto chciano wstąpić na skałę, ale zaniechano tego, gdyż skała się trzęsła. Zauważono na niej piękne ostrygi. Nową tę wyspę, która do 4go Czerwca wyrosła 25 stóp nad poziom, nazwano Nową Kamneni. Wszystko odbywało się bez huku i wybuchów wulkanicznych, morze jednak naokoło gotowało się, i tak było rozgrzane, że mnóstwo nieżywych ryb pływało po powierzchni. Ale 16go Lipca ujrzano już 17 nowych czubków skalistych, wystających z morza. Niedługo, bo jeszcze prawie tego samego dnia wykazało się, że tworzyły one jedną tylko górę o siedmnastu czubkach i miały przy podstawie łączność z Nową Kamneni. We dwa dni później zaczęło morze huczeć, dym gęsty okrył całą okolicę, a grzmot podziemny tak był straszliwy, że mieszkańcy opuścili przerażeni Santorin i uciekli na inne wyspy. Huk i grzmot nie zrobiły żadnej szkody, ale za to wyziewy z nowo powstałej ziemi zastraszyły i sąsiednie wyspy. Zaczęły bowiem potworzone na niej wulkany wyrzucać materią tak niezmiernie cuchnącą, że oddychanie stało się trudnem, a osoby słabowite ustawicznie omdlewały. Nawet cuchnąca mgła, która okryła Santorin, działała trująco na rośliny, gdyż wina poschły i inne drzewa opadły z liści.

Wyspa jednakże rosła. Wulkany porobiły sobie otwory i zaczęły w niebo ciskać snopy płomieni i prócz tego z taką siłą wyrzucać głązy i płomienie, że na trzy mile odległości padały i to ich tyle, że jedną z najbliż-

szych wysp całkiem zasypały. W rok później wyspa wzniosła się 200 stop nad poziom morza i miała sześć mil obwodu. Ogień buchał jeszcze wieloma — przeszło sześćdziesięcioma otworami i ustawicznie jeszcze wylaływały rozpalone kamienie.

W roku 1866 zapadła się Nowa Kamneni przy podobnych, jak opisano wybuchach ognia, a na jej miejsce powstała inna wyspa, która z morza wyszła, niby wielki stós rozpalonych węgla. Można się domyślać, jak morze musiało być wzburzone. Na skałach wisiały jeszcze szczątki dawniej rozbitych okrętów. Prócz tego wysunęła się druga wyspa, raczej wulkan, z wody buchający ustawicznie płomieniami.

Drugie miejsce wulkanicznych objawów jest okolica Sycylii. Wspomniana wyspa zapewne nie zawsze była wyspą, dopiero wulkaniczne wstrząśnienia oderwały ją od stałego lądu. Grupa wysp Liparskich jest wyraźnie wulkanicznego pochodzenia, a nawet dotąd pokazują się tam przewroty. Wyspy Stromboli, Volcano i Volkanello, są dotąd wulkanami czynnymi, a Kaprera wulkanem wypalonym. I ta wyspa roku 1831 wyszła z łona morza, jakśmy to już przy innej sposobności opowiadali.*) Wyszła ona z głębi 600 stóp. Poprzednio 5 dni trwało trzęsienie ziemi, aż naraz zauważono, jak morze w jednym miejscu na 80 do 90 stóp wysoko się wzbijało i piętrzyło, to upadało, to znów się w przestankach od 15—30 minut do góry wznosiło, a tuman dymu czy pary zalegał widnokrąg. Powietrze napełniło się wyziewami siarczanymi. Rano nazajutrz ujrzano słup dymu, a wieczorem już słup płomienia. Oto jak Hoffman, naoczny świadek, który się nawet zbliżył na $\frac{1}{4}$ mili do zjawiska, zdarzenie to opisuje: „Widzieliśmy wyraźnie, że płaska czarna wyspa wyszła z morza i tworzyła okrąg krateru mającego około 600 stóp średnicy, który ustawicznie

buchając, wynurzał się w górę. Z otworu krateru wznosiły się bez przerwy, ale bez huku, wielkie kłęby białej jak śnieg pary. Łącząc się i kłębiąc, tworzyły one, mianowicie we świetle słonecznym, przepyszne kolumny, których wysokość mogła do 2000 stóp dochodzić. Owe świetliste kolumny dymu przeszywały tedy i owedy głazy wyrzucane. Najpiękniejsze momenta zjawiska były od czasu do czasu powtarzające się wybuchy mas czarnego piasku i popiołu, które wzbijały się do 600 stóp wysoko, a potem niby snopy się rozszerzały. Przy tém latała na około niezliczona ilość kamieni, grupując się jak najrozmaiciiej.

W czasie tego zjawiska syczało morze na około od wpadających w nie mas rozżarzonych. Białe chmury pary wznosiły się z wody na około i zasłaniały nam nową wyspę. Podczas tego dawał się słyszeć w powietrzu szelest i trzask uderzających o siebie kamieni, jakoby padającego gradu. Małe języki ognia wystrzeliwały z krateru, a słup gwałtownego dymu przeszywały błyskawice, po których następował przeciągły grzmot. Zaburzenia takie trwały mniej więcej godzinę, poczem następował niejako wypoczynek, ale jednak ustawicznie wybuchały nowe kłęby pary.“

10. Morze Czarne.

Nazwisko tego morza pochodzi mianowicie z namulisk, które sprowadzają wielkie rzeki, jak Dunaj, Dniepr, Dniestr. Muł pozostający na dnie morza, nadaje wodzie koloru czarnego, szczególnie na wybrzeżach. Ale woda bynajmniej nie jest czarną.

Osobliwsze to morze, będące 137 mil długie, a 72 szerokie, mające 8700 mil kwadratowych obszaru, nie ma wcale żadnej wyspy, z wyjątkiem jednej przy ujściach Dunaju. Głębokość jego dochodzi miejscami do 900 stóp, ale też prawie wszędzie równa, z wyjątkiem nadbrzeży. Nie tworzy ono też zatok i wcięć,

tak, jak np. Śródziemne, ale stanowi wielki kocioł z równemi brzegami. Tylko przy Odesie znajduje się dość znaczna zatoka, a druga, większa jeszcze po za półwyspem Krymskim, zwana Morzem Azowskiém. Zatoka ta z czasem może zupełnie zniknie, ponieważ ustawicznie się zamula. Głębokość jęj największa wynosi 42 stopy. Dla miękkości wód i dla namulisk nazywają je Morzem Zgniłém, a przy Taganrogu w ujściu Donu nawet Morzem Martwém. W starożytności mieszkał tu naród dziki, który chwycił zapuszczających się tu ludzi i zabijał je bogom na ofiarę. Dla tęg tedy przyczyny starożytni dalej się nie zapuścili, i tu tęg był ich kres wiadomości geograficznych na wschodzie. Z Morza Azowskiego, czyli zatoki zamkniętej Krymem do Czarnego prowadzi wązka cieśnina, którą rozmaicie nazywają; znajduje się tam forteca Kercz, a ztąd i cieśnina nosi to imię. Ale zowią ją tęg nazwiskami innych miast, jak Kaffa, Feodozja, Jenikale; wszystko to są miejscowości nad cieśniną leżące. Sama cieśnina zamarza, ile że nie jest ani szeroka, ani głęboka i mało zawiera soli, jak całe morze, które właściwie ma tylko wody rzek do niego wpływających. W starożytności pono zawsze czekano, dopóki cieśnina nie zamarzła, a potem dopiero po lodzie przechodziły karawany z jednej strony na drugą. Mitrydates stoczył pono nawet walkę kawaleryi na lodzie. Obecnie to nie udałoby się, ponieważ cieśnina teraz nie chce tak mocno zamarznąć, i ztąd wypada wniosek, że albo klimat stał się cieplejszym, albo historyczne podania są — bajkami.

Najznaczniejszym miastem jest na Krymie Sewastopol, forteca, która długi czas uchodziła za niezdobytą, dopiero Francuzi odebrali jęj w roku 1854 ten zaszczyt. Półwysep Krym złączony ze stałym lądem bardzo wązkim przesmykiem, na którym leży mała miejscina Perekop.

Na kontynencie w Rosyi widzimy wielkie miasto Odesse, z wybornym portem.

Czarne Morze zbytek swych wód zléwa cieśniną Konstantynopolitańską do Morza Marmara, a ztamtąd do Morza Śródziemnego. Cieśnina ta zowie się jeszcze starożytnym mianem Bosfor, co znaczy wołowy bród. Na najwęższym miejscu wynosi jęj szerokość ledwo 500 kroków; długa 5 mil. Nad nią po stronie europejskiej rozkłada się Carogród, inaczej Konstantynopol, u Turków Stambul, a na przeciwnym brzegu po stronie azjatyckiej: Skutari.

Morze Marmora, 32 mil długie i 16 szerokie, tak nazwane, ponieważ na niém znajduje się wyspa dająca najprzedniejszy biały marmur. Powstało ono dopiero wtenczas, kiedy Morze Czarne rozerwało tamę górzystą i utworzyło Bosfor. Starożytni nazywali je przedmorzem — propontis — a Morze Czarne dopiero właściwem Morzem — pontus. Prócz wyspy marmurowej znajdują się tu jeszcze wyspy książęce, które dla swej piękności stanowią bardzo ważny punkt dla wycieczek mieszkańców Carogrodu.

Morze Marmora styka się z Morzem Śródziemnem cieśniną Dardaneelską, która w starożytności nosiła nazwę Hellespontus, ponieważ Helle, córka króla Atamasa, zmuszona uciekać przed macochą Ino, odważyła się tę cieśninę przepłynąć na baranie, mającym złote runo. Niestety! nie dokazała jednak téj sztuki, gdyż spadła z barana i utonęła.

Hellespont jest 12 mil długi, a miejscami tylko 2500 stóp szeroki, głęboki 48—54 stóp. Za nadto grał on wielką rolę w historyi starożytnych Greków, aby nie miał być wnięszanym do rozmaitych bajek i mitów. O zatonięciu Helle już słyszeliśmy. Ale są i inne podania historyczne, które nie należą już właściwie do mitów. I tak Xerxes, król Persów chciał tedy most budować, aby swe wojska przeprowadzić do Grecyi.

Ale morze wzburzone nie dozwoliło tego. Natenczas Xerxes rozkazał morze spienione... wybatożyć i wrzucić w nie kajdany. To pomogło(!) — jak powiada historia — morze się uspokoiło, a Xerxes wybudował dwa mosty.

W najwęższém miejscu stały dawniej dwa zamki: *Sestos* i *Abidos*. Tutaj *Leander* przepływał wpływ do swéj kochanki *Hero*, która zapaloną pochodnią niby latarnią morską, dawała mu znak kędy ma płynąć. Raz zagasła pochodnia, a *Leander* w ciemności nocnej stracił kierunek, wreszcie porwany prądem, zatonął.

Téj saméj sztuki dokazał i *Lord Byron*, angielski sławny poeta. Wprawdzie nie płynął tak samo jak *Leander*, to jest w nocy, ale we dnie i to jeszcze okręt, zaopatrzony we wszystko, czego w razie przypadku byłoby do ratunku potrzeba, płynął gotów mu nieść pomoc. Jednak prąd porwał śmiałka i uniósł go daleko; jednakże sztuki dokazał. Za to odpokutował zdrowiem, albowiem 5 dni leżał w ciężkiej fébrze.

Turcy obwarowali *Dardanele* bardzo silnie, ponieważ one są kluczem do *Carogrodu*. Nad cieśniną stoją 4 fortece, miotając ogniem i ołowiem; zdawałoby się, że cieśnina nie jest do przebycia. A tymczasem roku 1770go admirał angielski *Elphinstone* wjechał i wśród huku armat tureckich kazał grać orkiestrze hymn narodowy angielski: *God save the king*, sam zaś spokojnie pił w kajucie herbatę. Osobliwszym zdarzeniem nie stracił ani jednego człowieka. Także 1807go roku mimo huku dział tureckich przebył admirał *Duckworth* cieśninę i stanął pod *Carogrodem*.

III. Ocean Indyjski.

1. Wiadomości wstępne.

Dotykający na wschodzie Ocyanu Spokojnego, na zachodzie Oceanu Atlantyckiego, a na południe Morza

Lodowatego południowego, oblęwa Ocean Indyjski na północy wybrzeża Azji i Afryki. Także i na wschodzie oblęwa on część Australii. Jako granicę przyjmuje się na zachodzie stopień 40, a na wschodzie 140 wschodniej długości od Ferro. Obszar powierzchni wody wynosi 1.400,000 mil kwadratowych (w przybliżeniu). Nazywają tę część wód ziemskich Oceanem Indyjskim, ponieważ tędy wypadała droga do Indyi, i właściwie tylko ten kraj zwabił Europejczyków na wody tutejsze. A wcale Ocean Indyjski nie jest bezpiecznym, owszem może ze wszystkich mórz najzdradliwszym. Prądy walą się tu gwałtownie ze wschodu na zachód i rozmaicie się zakręcają. Musony wieją tutaj najzdradliwsze i najgwałtowniejsze.

Jednakże chęć odkrycia bogatych Indyi, a skoro je wreszcie Vasco de Gama odkrył, chęć posiadania tak pięknych krain bez przerwy była przyczyną tutaj rozlicznych wypraw.

Ocean Indyjski tworzy wielkie wcięcia mianowicie przy Azji. Na wschodnich wybrzeżach Afryki nie mógł on dla ciągnących się pasm górzystych porobić zatok, dopiero pomiędzy Azyą a Afryką wcisnął się daleko w kontynent, i zowie się:

1. Morze Czerwone. Znaném ono jest już z Biblii, albowiem tędy, zapewne w tém miejscu, gdzie leży Suez, przeprowadził Mojżesz Izraelitów suchą nogą przez morze właśnie podczas odpływu. Przypływ, który tu jest bardzo gwałtownym, zatopił pogoń. To samo, co Faraonowi byłoby się zdarzyło i Napoleonowi I, który oddaliwszy się z kilkoma tylko towarzyszami, w czasie odpływu zapuścił się za daleko, tak że ledwo przed nadpływającymi bałwanami ucieć zdołał.

Na powierzchni owego morza pokazuje się podobno czasem mnóstwo mikroskopicznych roślin, całkiem czerwonych, które téj wodzie nadają pozornie czerwony kolor; ztąd powstała nazwa Morza Czerwonego. Woda jednak bynajmniej czerwona nie jest. Długość jego wynosi

300 mil, a w najszerszém miejscu jest 40 mil szerokie. Przypływy i odpływy są tu gwałtowne, a wybrzeża nie mają wcale dobrych portów, bo jak po stronie arabskiej wybrzeża są mialkie, tak znowu po stronie abysyńskiej są strome skaliste ściany i pełno niebezpiecznych raf pod wodą ukrytych. Prócz tego nie można wylądować nigdzie, ponieważ rozbójnicze hordy Beduinów bardzo są niebezpieczni. Najniebezpieczniejszym jest wjazd z morza Indyjskiego do Czerwonego, albowiem cieśnina Bab-el-Mandeb (brama śmierci), lubo 1 milę drogi szeroka, jednak tylko ma 12 stóp głębokości i wielkie okręty tylko w czasie przypływu przebywać ją mogą. Pomimo tego wskutek przekopania przesmyku Suezkiego okręty teraz wygodnie dostają się aż na Ocean Indyjski, i nie słychać o żadnych przypadkach. Wszystkiemu temu winna machina parowa i śruba; okręt tém zaopatrzony drwi sobie z prądu, śmieje się z ciszy i śmiało stawia czoło wichrom wzburzonym bałwanom. W starożytności tak się tej cieśniny obawiano, że jej nawet dano nazwę bramy śmierci, a przylądek też przed nią, jeszcze po stronie Afrykańskiej, nazwano Gardafui, to znaczy: strzeż się.

2. Morze Perskie, 4300 mil kwadratowych obejmujące, pomimo że ma wygodne przystanie, jednakże żegluga po nim nie ma szerszych rozmiarów, ponieważ lądy okoliczne nie należą do cywilizowanych. Godną uwagi, że tutaj właśnie panują największe skwary, lubo cała zatoka leży o 20 stopni od równika. Morze Perskie ma jednakże znaczenie wielkie, ponieważ tutaj odbywa się połów pereł bardzo znakomity. Łączy się z Oceanem Indyjskim cieśniną Ormus.

Oba poprzednie morza są tylko częściami ogromnej zatoki oceanu, zwanój zatoką Arabską. Druga taka zatoka pomiędzy Indyami przedgangesowemi i zagan-gesowemi zowie się zatoką Bengalską. Wreszcie na wschodniej stronie Azji Morze Chińskie. Pomiedzy Australią a Azją znajdujemy Archipelag wysp,

o wiele większy i znaczniejszy, aniżeli Grecki. W nim są także morza, czyli kotły wody zawarte pomiędzy wyspami, z nazwiskami wysp znaczniejszych. Archipelag ten powstał bez wątpienia skutkiem natarczywości prądu równikowego, który tutaj dawniej będący ląd stały porozrywał i cieśniny wyźłobił. I terażniejsze wyspy nie oparłyby się jego naciskowi, gdyby nie były kamienistemi opokami, a przynajmniej gdyby nie miały kamienistych brzegów.

2. Wyspy Oceanu Indyjskiego.

Niepotrzebną byłoby nawet nadmieniać, że tylko o najmniejszych wyspach wspomnieć tutaj możemy, i to nawet jeszcze pobieżnie tylko. Na każdym Oceanie znajdują się wyspy, ale na żadnym nie ma tak ważnych pod względem handlowym, jak właśnie na Oceanie Indyjskim.

Wspomniemy więc o niektórych, idąc porządkiem geograficznym.

1. Madagaskar, albo Madagaskara, na wschodniej stronie południowej Afryki, oddzieloną jest od Kontynentu kanałem Mozambique. Długość jej wynosi 180, a szerokość w najszerszym miejscu 60 mil, tak że cała powierzchnia liczy 10,500 mil kwadratowych. Przez sam środek od północy do południa ciągnie się pasmo gór, z których po obu stronach mnóstwo strumieni spada do morza. Skutkiem położenia pod samym zwrotnikiem i dostatecznego nawodnienia, cała wyspa jest bardzo urodzajną. Ryż, bataty, rodzaj rośliny z bulwiastym jadalnym korzeniem, indygo, jedwab' i rozmaite tropiczne owoce są produktami tej wyspy, a oprócz tego znajdują się tu drzewa gumowe i balsamiczne; prócz tego tu ojczyzna drzewa *ravenala*, które nacięte sączy przepyszném winem. Drapieżnych zwierząt tu właściwie nie ma, z wyjątkiem ogromnych węzów. Za to pełno jest dzikich świń. Madagaskar

jest ojczyzną straszego nietoperza, znanego pod nazwiskiem wampir. Tak żyzna i piękna wyspa utrzymała się dotąd pod własnymi rządcami, pomimo że rozmaite narody starały się dostać ją w posiadłość. Francuzi kilka razy się tu osiedlali, bo w 16 i 17 wieku, ale osady ich zawsze upadały. Piérwotni mieszkańcy Madagaskaru, Madagassy, są koloru czarnawego, średniego wzrostu, dobrze zbudowani, weseli i silni. Napływowy lud zdaje się być pochodzenia arabskiego. Co się tyczy religii, mieszkańcy są chrześcianami, z wyjątkiem tych, co jeszcze w okolicach lesistych hołdują bałwochwalstwu, nie będąc jednakże dzikimi. Chrześcijaństwo to jednakże jest jeszcze mieszaniną rozmaitych pojęć, wziętych z nowej i ze stariej religii.

Miastem stołeczném jest Tanamariwo.

Opuszczamy teraz mnóstwo wysp, jak św. Maurycego, Bourbon, Rodriguez, archipelag Admirantów, a wspomniemy o Seychellach tylko tyle, że tu się znajduje rodzaj palmy, rodzącej bardzo wielkie owoce, wążące do 50 funtów. Palma ta, z gatunku kokosów (*Lodoicea Seychellarum*) wyrasta do 120 stóp wysokości, a jest tak giętka, że wichry zginają jej wierzchołki do saméj ziemi.

Nim roku 1749 odkryto Seychelle, znano już owoce owéj palmy, albowiem fale i prądy zносиły je aż na wybrzeża. Nikt jednak nie znał ani drzewa, ani miejsca, na którym orzech kokosowy rósł, znajdowano jebowiem tylko na falach morskich. Ztąd powstały najrozmaitsze powieści i baśnie, którym wierzono, ponieważ nikt o prawdzie przekonać się nie mógł. Żeglarze chińscy i malajscy opowiadali, że te orzechy rosną na drzewie rosnącym na dnie morza, a podobnym kokosowej palmie; twierdzili nawet, że widzieli na dnie morskiem takie drzewa w pobliżu Sumatry, ale że one natychmiast zniknęły, gdy ich się dotknąć chcieli. Kapłani zaś indyjscy zawyrokowali, że palma ta rośnie przy wyspie Jawie, wprawdzie na dnie morza, ale liście i gałęzie rozkłada

na powierzchni; w nich ma mieszkanie olbrzymi ptak, który nocami wylatuje na ląd, aby tam chwycić słonie, nosorożce, lwy i tygrysy, i poszarpawszy je, zanosi mięso do swego gniazda na palmie. Jeśli fale zapędzą tutaj okręt, natenczas ptak wszystkich majtków zabiera do swego gniazda na pożarcie, okręt rozbija się o drzewo, które ma siłę przyciągającą.

Bajki takie miały skutek dwojaki: raz, że pilnie unikano okolic, gdzie takie dziwotworne drzewo miało rosnąć, a po drugie znadowany orzech kokosowy na falach miał, jako rzecz tajemnicza, bardzo wielką wartość. Przypisywano mu siłę nadprzyrodzoną i uważano go za lekarstwo przeciw wszystkim truciznom, jakie tylko mogą być na świecie. Książęta wysp kazali sobie wszystkie znalezione owoce oddawać; biada! jeśliby kto chciał sobie je zatrzymać. Książę na Maledywach karał nawet śmiercią za nieposłuszeństwo. Rzeczywiście jeden taki orzech miał wówczas wartość 120 talarów, a jeśli się trafił zupełnie okrągły, wart był 150 talarów. I europejscy królowie gonili za tą osobliwością. Jeden darował za orzech okręt całkiem we wszystko zaopatrzony. Cesarz niemiecki Rudolf II kazał sobie zrobić ze skorupy orzechowej puchar, za który zapłacił 4000 talarów.

Dopiero gdy odkryto Seychelle, odkryto i ów gatunek palmy, rosnący tylko na Seychellach, i to wprawdzie na trzech mniejszych wysepkach archipelagu, straciły orzechy cały urok tajemniczości i wartość ich spadła do ceny, na jaką zasługują. Dopóki są niedojrzałe, dadzą się łatwo nożem krajać, a mięso ich rozpływa się na języku. Ze skorupy orzechowej wyrabiają rozmaite naczynia i drobnostki.

Najgłówniejszą i najwięcej godną uwagi jest okoliczność, że owoc ten wisi na drzewie 10 lat, zanim dojrzeje. Jest to więc w roślinnym świecie rzecz niesłychana, wyjątkowa. Zapewne też dla tego nie uprawiają owęj palmy, ponieważ ma tylko co rok jeden

kwiat, a musi jeszcze 10 lat upłynąć, zanim z tego kwiatu powstanie dojrzały owoc. Ale też ustawicznie 10 kształtów owocowych na każdym drzewie zauważyć można, poczynawszy od kwiatu, aż do dojrzałego owocu, a pomiędzy niemi małe orzeszki, na pół dojrzałe i nie długo dojrzeć się mające; ze wszystkich po jednym egzemplarzu.

4. Maledywy i Lakadywy tworzą dwa archipelagi wysp koralowych, tuż nad zachodnim brzegiem Indyi Przedgangesowych. Są to rafy, które wyrosły z gruntu leżącego tak głęboko miejscami pod powierzchnią morza, że ołowianką zgłębić się nie da. Nie są zaś wcale wysokie i podlegają często zalewom. Liczą około 15,000 pojedynczych wysepek, z których bardzo wiele wcale nie jest zamieszkałych. Jedne z nich są, jak powiedziano, rafami stromo z morza wystającemi, inne zaś tylko górami na rafach usypanego piasku, trochę wyżej nad poziom morza wzniesionemi. Mieszkańcy należą do rasy malajskiej. Głównym zatrudnieniem Maledywan i Lakadywan jest zbieranie małych muszelek, zwanych kauri, a będących rodzajem monety, służącej do zamiany zupełnie jak u nas pieniądze. Na ten sposób są te wyspy menicą dla Indyan azyatyckich.

5. Ceylon (Ceylon albo Cingala) leży po wschodniej stronie Indyi przedgangesowych. Wyspę tę nazywają krajowcy „ogrodem rozkoszy“. Tam znajduje się zbiór wszystkich bogactw, które spowodowały tyle podróży do Indyi Wschodnich. Ceylon ma wzdłuż mil 54, wszérz 25, a obszaru mil 5144. Pomiedzy nią a kontynentem ciągnie się kanał, zwany cieśniną Pal-ka, albo Chilao, około 15 mil szeroki. Przez środek wyspy przechodzi pasmo gór wiérzchołkiem Adam a zwanym, czyli wysokim szczytem, wystającym z tego pasma w jego południowej części.

Mieszkańcy są, jak na wszystkich nadbrzeżnych wyspach, dobroduszni i uczciwi. Pierwotni mieszkańcy,

zowiący się C y n g a l a m i, koloru ciemnego, byli już przed nar. Chr. ucywilizowanymi. Zapewne przenieśli oni oświatę indyjską na Ceylon. Sami jednak nie przyznają się do pochodzenia indyjskiego, owszem twierdzą, że świat cały zaludnił się z Ceylonu, gdyż tutaj miał się znajdować raj biblijny i tu Adam i Ewa pierwsze mieli ujrzyć światło słoneczne. Zapewniają, że stało się to na górze Adama.

Cała wyspa pokryta jest kokosowemi palmami, owym największym skarbem okolic tropicznych. Wszędzie gaiki palm ocieniają mieszkania. Zwyczaj tu panuje naśladowania godny, że ojcowie rodzin przy każdej uroczystej okoliczności kilka ziarn kokosowych zaszczepiają, aby wyrosłe drzewa później były żywą pamiątką tej uroczystości. Rzeczywiście bardzo doskonałe pomniki!

Kokos można nazwać królem drzew. Użyteczność jego nie ma nic podobnego w świecie roślinnym. Pień jego ma przy ziemi tylko dwie stopy obwodu, ale wyrasta do 100 stóp wysokości. Liście jego składają się z giętkiego prętka, a ten otaczają listki przeciwległe. Im drzewo jest młodsze, tém też liście jego są szersze i mocniejsze. Owoce jego są wielkości melonów i osadzone są gronami, a jest ich tyle, że się drzewo pod ich ciężarem ugina. Orzechy te kokosowe zawierają w sobie wodę czystą, słodką i dobroczynną, lecz nie trzeba jęj nadto używać, gdyż natenczas szkodzi, jak i szkodzi śmietaną rozkoszna, która osiada na ścianach wewnętrznych skorupy. Z tego orzecha, raczej z jądra, nie tylko dostaje się bardzo zdrowe pożywienie, ale można z nich otrzymać: wyborne konfitury, doskonałą wódkę, ocet, miód, oliwę i rozmaite inne; z łupiny naczynia różne małe sprzęty; z liści i łyka: pokrycia na dachy, ubrania, lny; z drzewa: budulec, opał.

Kokos zatem jest najużyteczniejszém drzewem dla ludzi mieszkających pod gorącym niebem.

Tu jest Ojczyzna cynamonu. Ze wszystkich może roślin drzewo cynamonowe wymaga najlepszych warunków bytu roślinnego; to jest: tropicznego klimatu, dobrej ziemi zraszanej ciepłymi deszczami. Te warunki znajdują się tylko na Ceylonie, gdzie wiecznie panuje rajski klimat.

Drzewo cynamonowe należy do bluszczów i wyrasta na drzewo 30 stóp wysokości i na łokieć grubości, ale to tylko wtedy, kiedy samo sobie jest pozostawione. Tak tworzy, a przynajmniej tworzyło dawniej całe lasy. Jednakże hodowane tak wysoko nie wyrasta, bo mu nie pozwalają, wyprowadzając je krzewiasto. Już kolor liści znamionuje drzewko cynamonowe tém, że listki są początkowo czerwone całkiem, dopiero później zielenieją. Osobliwszą jest, że woń z kwiatów białych, aczkolwiek bardzo miła, wcale nie przypomina woni cynamonowej. Owoc podobny do jagód jałowcowych, z początku całkiem czerwony, dojrzwały czarny, biało nakrapiany. Wygotowane jagody we wodzie dają rodzaj oliwy, z której znowu wyrabiają coś podobnego do wosku i używają do lania świec. Z liści wydobywają eteryczny olejek, a z korzeni kamforę.

Najglówniejszą częścią całego drzewięcia jest jednakże kora, dająca nam znany cynamon. W Styczniu cynamon kwitnie, w Kwietniu owoc dojrzewa, a w czasie tego soki właśnie najwięcej krążą i kora da się zdjąć tak łatwo, jak kiedy chłopcy z naszych wierzb „linią“ piszczałki na wiosnę. W miesiącach Maja i Czerwcu rozpoczyna się zbiór kory cynamonowej. Starym zwyczajem tylko potomkowie pierwotnych mieszkańców, to jest Cyngalowic mają wyłączny przywilej zdejmowania kory. Tworzą oni niejako osobną kastę, która mistrzów tego zatrudnienia dostarcza. Nazywają się oni dżalias. Aby całego drzewa od razu nie zepsuć trzeba tylko rocznie niektóre obcinać gałązki. I tak z drzewa pięcioletniego można uciąć 3—5 gałą-

zek zdatnych, z drzewa 8 lat mającego 8 do 10 gałązek. Odrzynają więc dzaliasy tyle gałązek, ile unieść mogą, i zanoszą do mieszkań zwykle na ten czas dla siebie sporządzonych. Tutaj najprzód oskrobują nożem delikatnie korę z wierzchu z nieczystości, pleśni i gruczołków, a następnie robią wzdłuż nacięcie zakrzywionym nożem i korę odłupują zgrabnie. W czasie téj roboty rosrzérza się aromatyczny zapach. Teraz z odłupanej kory zdejmuje się wewnętrzne łyko i zielona skórka z wierzchu, a potem rozkłada się na słońcu celem wysuszenia. Kora początkowo biała nabiera niedługo koloru żółtawego, a następnie brunatnieje i skręca się sama w zwoje, jakie u cynamonu zauważamy. Jeden dzień suszenia wystarcza — i cynamon gotów do użycia.

Następuje potem sortowanie pojedynczych kawałków, co jest najuciążliwszą i najprzykrzejszą pracą, ponieważ sortuje się je według smaku, a ten sprawdzić można tylko językiem. Do tego są znowu zupełnie osobni ludzie, mający dostateczną wprawę. Ci nagryzają i żują kawałki z każdego gatunku i nieomal z każdej gałązki, co jest tak dla języka przyką, że nikt dłużej nad trzy dni nie wytrzyma. Najlepszy gatunek świeży dają te zwitki, które mają kolor żółtawy, lub jasnobrunatny, smak słodkawy, a grubość mocnego pergaminu; podlejsze gatunki mają kolor ciemniejszy, a smak gorzki. Zwitki pojedyncze układają we wiązki długości 4 stóp i 90 funtów wagi. Pojedyncze różgi wypełniają się pieprzem przez co nie tylko i cynamon lepiej się konserwuje, ale i pieprz nabiera lepszej jakości. Z odchodów wyciskają cynamonowy olejek, znajdujący się w aptekach; 300 funtów skóry daje ledwie jeden funt olejku.

Kiedy Portugalczycy r. 1505 odkryli Cejlon i osiedlili się na ni, natychmiast zagarnęli pod swą władzę wszystkie drzewa cynamonowe, które już wtenczas rosły tak samo jak dzisiaj. Znajdowały się natenczas całe

lasy, ogromne obszary drzew rozłożystych. Odkrywcy nali cynamon, lubo nie wiedzieli, że on pochodzi z Cejlonu; sądzono, że pochodzi ze samych Indyi. Cynamon bowiem znanym już był za czasów Herodota, a nawet w Biblii już zachodzi o nim wzmianka, mianowicie w księdze Pieśni nad Pieśniami. Hollendrzy, zdobywszy Cejlon na Portugalczykach, postąpili sobie jeszcze gorzej, gdyż Cyngalom zakazali uprawiać drzew cynamonowych, a te zakłady, które już istniały barbarzyńsko zburzyli. Zakaz rozciągał się tak daleko, że tuziemcom nie wolno nawet było pod surowemi karami z dzikich lasów cynamonowych podnieść ani gałązki dla własnego użytku. Ułamanie gałązki karano ucięciem ręki, a ścięcie lub ułamanie drzewa — śmiercią.

Rzeczy się zmieniły, kiedy Anglicy objęli 1796 Cejlon w posiadłość. W prawdzie i oni początkowo zagarnęli handel cynamonem, jako monopol, ale już 1833 ogłosili go wolnym, a odtąd Cyngalowie stali się majętnymi i szczęśliwymi.

W czasach starożytnych cynamon był bardzo, bardzo drogim. Łut cynamonu kosztował dukata. Jakkolwiek jest znana, jednakże przytoczymy tu dykteryjkę o Karolu V. i pewnym kupcu nazwiskiem Fugger, którego tenże monarcha wyniósł do godności hrabiowskiej. Owoż Karól V był Fuggerowi dłużnym na rewers znaczną sumę pieniędzy. Kiedy wracał z wojny włoskiej roku 1530, droga wypadała mu na Augsburg. Cesarz winien był oddać wizytę swemu wierzycielowi, mieszkającemu w Augsburgu, i rzeczywiście nie uchylił się też od oddania mu tego zaszczytu. Kiedy będąc w pokoju byłego kupca zaczął trzeć ręce z powodu chłodnego powietrza, Fugger poszedł do składu, przyniósł pęk dukatowych zwitek cynamonowych, ułożył je na kominie, na wierzch położył cesarski rewers, i ten kolosalny majątek puścił z dymem. Ciekawa rzecz, czy cesarz więcéj się uradował ze spalenia rewersu, aniżeli zdumiał ofiarą swego poddanego.

Nie sam cynamon dał Cejlonowi przydomek „perły indyjskiej“, znajdują się tam bowiem drogie kamienie na lądzie, a w morzu najlepsze na cały świat... perły. O nich będziemy mówili, gdy będzie mowa o zwierzętach w Morzu Indyjskim.

Nad wybrzeżem Indyi Zagangesowych ciągną się na południe pasma Andamanów i Nikobarów. Pierwsze i drugie są zamieszkałe dość słabo. Pomiedzy mieszkańcami jednak pierwszego i drugiego archipelagu bardzo wielka zachodzi różnica. Jak mieszkańcy Nikobarów są ludzie uczciwi, spokojni, tak znowu na Andamanach mieszkają dzikie hordy, pono nawet jeszcze ludożercze, lubo niedaleko znajdują się cywilizowane narody.

Pomiedzy Azyją a Australiją znajduje się Archipelagazyatycki, obejmujący bardzo wielką liczbę wysp, tworzących 3 grupy, to jest Wielkie i Małe wyspy Sunda, Moluki i Filipiny.

Wielkie wyspy Sundzkie są 4; te są: Sumatra, Borneo, Celebes i Jawa.

Sumatra, 200 mil długa, oddzielona od stałego lądu cieśniną Malakką, a od Jawy cieśniną Sunda, należy w części północnej do Hiszpanii, w części południowej do Hollandyi. Przez środek przechodzi wysokie pasmo gór wulkanicznych, wznoszących się do 14,000 stóp. Klimat parny, gdyż równik przecina Sumatrę, jest niezdrowy, ztąd na 8000 blisko mil kwadratowych ledwo 2 miliony mieszkańców się liczy. Z produktów wymieniamy głównie ryż, kukurydzę, trzcinę cukrową, kawę, indygo, sago, gumę, ananasy, pieprz, kamforę i inne. Ze zwierząt: słonie, nosorożce, konie rzeczne, małpy, aligatory, węże, bażanty, pawie; z minerałów: złoto i koprowina.

Borneo, największa ze wszystkich, mająca 12,000 mil kwadratowych, w północnej części do Hiszpanii, w południowej do Hollandyi należąca, ma kształt czworoboku i również przecięta jest równikiem. Mie-

szkańcy téj wyspy pierwotni stoją jeszcze na niskim stopniu oświaty i z powodu ich zawziętości przeciw przybyšom europejskim jest rzeczą niebezpieczną zapuszczać się w głąb' kraju, a z téj przyczyny wewnątrz Bornea jest mało znane. Wybrzeża mają po większej części klimat niezdrowy i zamieszkałe są przez szczepy malajskie, z którymi Anglicy roku 1848 zawiązali stosunki handlowe. Produkta Borneo są: złoto, perły, kamfora i inne. Borneo dla nas ma tę zasługę, że nam dała k u r y, gdyż nasze jajkonošne kwoczki właśnie z tamtąd pochodzą. Pomimo niezdrowego klimatu Europa zaczyna tam coraz więcej zakładać osad, i jest nadzieja, że promień cywilizacyi europejski i tu błogie swe wywrze skutki.

Celeba (Celebes, albo Makassar), 2600 mil kwadratowych mająca, należy do Hollandyi już od 1667 roku. Klimat tutaj jest zdrowym, ziemia żyzna i obfitująca w roślinność. Należy także do Hollandyi. Pomimo wszystkich warunków, Hollandya mało, albo wcale nie ma zysku z Celeby, i tylko dla tego strzeże jęj pilnie, ponieważ jest kluczem ona do wy.p Moluckich. Miastem stołeczném jest M a k a s s a r.

Jawa, długa 140 mil, a szeroka w przecięciu mil 20, zawierająca obszaru 2326 mil kwadratowych, jest pod każdym względem najciekawszą wyspą nie tylko na Oceanie Indyjskim, ale i na całym świecie. W roku 1594 zajęli ją Hollendrzy i jak skarbu największego pilnowali. W tym czasie o Jawie mało co, albo wcale nic nie wiedzano, gdyż zdobywcy, w obawie, aby mnogość jęj skarbów nie zwabiła innych narodów, nie dopuszczali nikogo w głąb' wyspy. Dopiero kiedy 1811 roku Anglicy zajęli wyspę, wtedy i o nięj świat cały się dowiedział. Traktatem paryżkim wróciła znowu Jawa do Hollandyi. Jednakże nie mogli Hollendrzy spokojnie mieszkać na Jawie, gdyż krajowcy ustawicznie się buntowali, a wreszcie widząc, że siły nic nie zdołają, podstępem i chytrością poczęli trapić swych europej-

skich nieprzyjaciół. Nie było dnia, aby tuż pod okiem rządu nie zaszły mordy i pożałowania godne zajścia. Biada, kto nieostrożnie wydostał się za oszańcowane miasto, gdyż z poza krzaków, z poza kamieni świstały strzały, i to zatrute strzały, których słabe zadraśnienie niechybną śmierć sprowadza. Nie tylko na ten, ale jeszcze i na inne sposoby brali się Jawajczycy, aby Europejczyków uprzątnąć. Na ścieżkach robili wilcze doły, pełne nabitych, ostrych bambusowych palów; doły te przykrywano tak zgrabnie, że oko Europejczyka żadnego nie dostrzegło poruszenia ziemi. Tymczasem nieostrożne stąpienie pociągało za sobą niechybną, bolesną śmierć, gdyż niešťczęśliwy spadając w zakryty dół, przebijał się na palach. To znowu kilka flint nabitych ukryli w zaroślach, a przez ścieżkę przeprowadzili sznur. Urządzenie to było sztuczne, gdyż sznur tak był do flint przymocowany, że skoro kto na ścieżce idąc nogą go poruszył, tém samém pociągnął za cyngle ukrytych flint i legł od kul samopałów. Inny sposób był nawet i zabawnym; możnaby się z tego rozśmiać, gdyby czasem i bardzo smutnych za sobą nie pociągał skutków. Urządzono sztuczne kije samobije; jak kto nogą sznur poruszył, tém samém wybijał klnik, a przez to uwalniał kij naprężony, który swemu wybawicielowi silnym razem się odwdzięczał, i to czasem tak silnym, że mu przetrącił krzyże, lub zgruchotał nogi.

Główne miasto, indyjska stolica Hollandyi, jest Batawia, otoczona bagnami i jeziorami. W ogóle cała wyspa jest bardzo błotnistą, a skutkiem tego, przy strasznój gorączce słonecznej i gorączce pochodzącej od podziemnych ogni, wyziewy smrodliwe zapełniają całą okolicę i czynią klimat zabijającym dla każdego Europejczyka, chcącego się tu osiedlić. Zwykle choroba ma według opisu Makartney'a następujący przebieg. Europejczycy, odmieniający nagle klimat i wprost tam przyjeżdżający, uczują najprzód w sobie odmianę; wkrótce

potém dostają febry, mało kogo wyjąwszy. Zaczyna się ona od trzydniowej, a po dwóch lub trzech napadach przemienia się na dwurazową w tym samym czasie. Nareszcie staje się przepadziłą (*remittens*), która za drugim lub trzecim napadem odbiera życie chorującemu. Ta ostatnia zwykła przypadać i z gwałtowném uderzeniem krwi do mózgu i z pomięszaniem zmysłów.

Oczywiście, że dzisiaj stan ten nieznosny, który tysiące pochłonał Europejczyków, zmienił się nie mało. Miasto (założone 1619) ma przestronne, proste ulice, ale pełne są one kanałów ziejących wyziewami. Polityca sanitarna już jest lepsza i objawy chorób stają się coraz rzadsze. Zresztą mieszkańcy Europejscy mieszkają na wyższych punktach, gdzie powietrze jest rzadsze i czystsze, np. w Weltevreden, Ryswyk, Buitenzorg, co znaczny tyle jak: bez kłopotu (*sans souci*). W ostatniem mieszka gubernator. Sama zaś forteca Batawia, jest raczej portem. Tu w Buitenzorgu znajduje się największy i najprzepyszniejszy ogród botaniczny, biblioteka, archiwum, drukarnia, i obserwatorium astronomiczne — szkoda tylko, że wszystko w zaniedbanii.

Grunt błotnisty wystawiony na działanie równikowych żarów słonecznych, wydaje wszystkie rośliny, które tylko w tropicznych mogą rosnąć okolicach. Tu znajdują się kwiaty, których nędzne skarłowaciałe okazy ledwo utrzymać można u nas w cieplarniach. Tam ananasami wojsko broń chędoży, a lud... bydlę domowe niemi pasie, podczas kiedy u nas funt kosztuje talara; tam ananasów nie chodują w ogrodach, ale na polach, jak u nas rzepeę, a cały ich pęk kupuje się za 2¹/₂ polskiego grosza. Tam perły i złoto, tam bogactwa bez liku.

Ale znowu z drugiej strony Jawa obok swego rozkosznego klimatu, obok rozkosznej flory jest straszylłem, jest smokiem, pochłaniającym ustawicznie ofiary niezdrowemi wyziewami, wychodzącemi z łona ziemi. Tu woda rozmiękcza ziemię i zamienia ją w błoto; z

pod ziemi zaś wybuchu najmniej 100 wulkanów, które owo błoto przewalają, wprawiając je we wrzenie i gotowanie. Tu są wulkany błotne, które zamiast lawą buchają błotem i wrzącą wodą, zamiast popiołu. A stokroć gorszy jest wulkan błotny od zwyczajnego wulkanu ziejącego lawą. Potoki wrzącego błota i wrzącej wody wiele większe sprawiają spustoszenie, aniżeli lawa, biegną bowiem prędzej i rozszerzają się więcej, a wyrzucone w górę spadając warzą ludzi ukropem. Zapewne pod spodem Jawy leżą grube pokłady siarki, gdyż tu właśnie jest wiele wulkanów siarkowych, ziejących zabijającym odorem siarki; zowią się one siarkowicami. Zwykle takie wulkany nie wiele wystają nad powierzchnią, a zresztą zbłocona rozmiękła ziemia nie wytrzyma wybuchu i zamienia się po katastrofie w dymiącą, przewalającą się jeszcze, śmierdzącą kupę błota. Tuż przy wulkanie, a nawet na znacznej przestrzeni porobią się natenczas ukryte dziury, lekką tylko skorupą powleczone. Biada, kto nieostrożnie wpadnie w taką otchłań — zniknie on na wieki, i nikt się nie dowie, gdzie się kości nieśczęśliwego podziały.

Owę błotnistą, wodnistą i siarczaną lawę, wylewającą się podczas wybuchu wulkanu, nazywają krajowcy bua. W kraterze wulkanu zbiera się woda i błoto, zwiększające się ustawicznym rozmiękczeniem ścian krateru. Wreszcie nacisk z góry za wielki i następuje wybuch; ale wybuch ten staje się zwykle i śmiercią samej góry wulkanicznej, gdyż jej rozmiękczone boki nie zdołają wybuchu wytrzymać. Wulkan wysoki P a p a n d a j a n zawalił się w roku 1772, a wybuch błota i wody zniweczył 40 wsi, które u jego stóp były zbudowane. Roku 1817 nastąpił wybuch wulkanu T e s z. Poprzednio zgromadziły się w jego kraterze wody i utworzyły siarką przesiąknięte jezioro. Wreszcie nastąpił wybuch, kwaśne wody się wylały i wiele kraju spustoszyły, a góra się zawaliła. Wulkan G a l-

Ion-Goeng zapadł się przy straszném trzęsieniu ziemi, a dopiero po zawaleniu krateru nastąpił wybuch. Po bokach stoku porobiły się otwory i woda wrząca, błotnista, nasycona siarką wylała się na okolicę i wielką ilość ludzi o śmierć przyprowadziła.

Zginęło natenczas wielkie mnóstwo osad i 2000 ludzi. Cała okolica 10 mil w promień pokryła się szlamem i błotem i przedstawiała obraz straszliwego zniszczenia. Dzisiaj i znaku nie ma, gdzie dawniej stały zamieszkałe wioski; gruba warstwa błota wyschła i powlokła się piękną, podzwrotnikową zielenią. Z wulkanu pozostały dwie jamy, wydające dwa słupy czarnego dymu.

Na wysokości 6238 stóp znajduje się jezioro Telago Tringo, czyli jezioro tatarakowe. Ze środka półkulistej skały w nim się znajdującej, wysokości na 40 stóp, mającej wklęsłość przy podstawie szeroką 15 stóp średnicy, wybucha ustawicznie słup białawej pary. Woda jeziora wre ciągle i ma $+66^{\circ}$ R.

Gorszą od poprzedniego jest siarkowica Pakere-mann albo Sitsimat, co znaczy: dolina śmierci. W samej rzeczy nazwa ta zupełnie jest uzasadniona i na całym świecie Bożym nic podobnego się nie znajduje. Na wysokości 200—300 stóp znajduje się krater, lub zagłębienie, które z jednej strony jest o 100 stop wyższe, aniżeli z drugiej. Tutaj wydobywają się ze ziemi niewidzialne gazy, tym zdradliwsze, że nie przed niemi nie ostrzega, chyba mnóstwo szkieletów rozmaitych, tak mniejszych jak większych zwierząt, pomiędzy którymi i ludzkich nie braknie. Gazy te zabijają mniejsze zwierzęta natychmiast, większe zaś po krótkiej chwili. Kościotrupy kóz, jeleni i tygrysów świadczą o tém wymownie. Tak straszego miejsca nie ma na całym świecie, prócz na Jawie. Znajduje się wprawdzie psia grotą przy Neapolu i podobna jaskinia w Pirmoncie, gdzie również wyziewy są zabijające, jednakże te są ledwie słabym światłem do pożaru w stosunku. Na Jawie bowiem zabijający wy-

ziew tak nagle dusi zwierzęta, że często z położenia szkieletów można rozpoznać czynność zwierzęcia w chwili śmierci. Tu tygrysowy szkielet zdaje się jeszcze gonić sarnę, tam koza ma skrzywioną nogę do podskoku.

Na szczęście dolina śmierci nie jest dla człowieka dorosłego tak niebezpieczną mianowicie na brzegach, albowiem gazy trzymają się powierzchni ziemi i nie dochodzą aż do głowy ludzkiej.

Daléj znajduje się tam druga dolina śmierci pod nazwą Kawa Paknodio lub Goa Upas, ziejąca siarczano-węglanymi wyziewami, zabijająca tak samo jak poprzednia.

Tu więc na każdym kroku obok cudownéj flory, pięknego nieba i bogactw wszelkiego rodzaju, goni człowieka śmierć zajadle. Jeżeli go klimat nie zabił, to czyha na niego wąż jadowity; uciekając przed tym wpada człowiek w szpony krwiożerczego tygrysa. Jeśli się w dolinę przed nim chce ukryć, trafi na dolinę śmierci, która i jego i tygrysa zabije. Tu rośnie najzjadliwsza na świecie trucizna, to jest drzewo Upas. Należy ono do gatunków fig. Nacięte wydaje ze siebie białawy sok, który na powietrzu tężeje i daje się gnieść jak ciasto. Z tego soku sporządzają truciznę, która, jeśli się jej najmniejsza odrobina dostanie do krwi, każde ciepło krwiste stworzenie uśmierca i to prawie natychmiast.

Na Jawie mieszka około 15 milionów mieszkańców, z których 145,000 Chińczyków, 25,000 Arabów, 30,000 Europejczyków, a reszta Jawajczyków się znajduje.

Chińczycy, którzy zresztą, niby żydzi po świecie, rozlali się po całym archipelagu azyatyckim, na Jawie prowadzą życie skromne, całkiem odmienne od wystawnego życia osadników Europejskich. Jednakże i skromny, tylko handlowi oddany ten naród, tu na Jawie roku 1740 podniósł bunt przeciw Hollendrom.

Rząd tedy hollenderski, nie mogąc tak łatwo liczebnie silniejszego nieprzyjaciela poskromnić, wydał srogi lecz koniecznością spowodowany rozkaz, aby załoga na Jawie wszystkich Chińczyków wycięła w pień. Przerażeni Chińczycy udali się z prośbą do chińskiego cesarza, aby się za nimi wstawił, ale ten dał im odpowiedź, która mogłaby się i dziś rozmaitym wychodźcom zdać na przestroagę; brzmiała ona tak: „mało mnie obchodzi los niegodnych poddanych, którzy dla podłego zysku opuścili swą Ojczyznę i groby swych przodków!”

Jawajczykowie, pierwotni mieszkańcy, są to ludzie średniego wzrostu i cery oliwkowej. W młodości ucinają włosy częściowo, a resztę wiążą w długi kosmyk. Zęby ich są precudnej białości, ale niestety u nich biały ząb jest w pogardzie, a upatrują w tém największy powab, jeśli mogą mieć zęby piłowane ostro i czarne, albo jeśli wcale nie mają zębów, w którym to razie wsadzają sobie kunsztowne, złote. Brzydki zwyczaj żucia betelu niedługo ich téż doprowadza do tego stopnia, że gęba ich staje się bezzębną, a wargi się powykrzywiają. Betel jest rośliną z ostrym sokiem, która zgubny wpływ wywiera na ozdobę każdego człowieka — zęby. Żują ją oni, jak żeglarze tabakę. Aby betel uczynić smaczniejszym i ostrzejszym, doprawiają go niegaszoném wapnem i orzechem areki. Natenczas ślina ich staje się tłustą, czerwoną jak krew, a zęby w krótkim czasie wypadają. Chodzą do połowy nago. Kobiety mają arcydziwaczny strój; malują pół głowy na przedku czerwono, a górne całe ciało żółtą farbą, która nie licząc już nieznosnej woni, czyni je straszdyłami, przed którymi człowiek chciałby uciec. Pomimo tego sądzą, że je to stroi. Co kraj, to obyczaj.

Zresztą są to ludzie dobroduszni, zadowolnieni ze siebie samych i nie pragnący żadnych zbytków. Mieszkania ich są to budy bambusowe bez okien, bez stołu, bez stołków i sprzętów — zgoła cztery ściany

i dach. Jedzą i piją na dworze. Pożywieniem ich jest ryż, kawa, mięso zwierząt mniejszych, nawet niektóre gatunki owadów, ryby i jaja ptasie. Do tego rozmaite owoce, jakich im natura dostarcza. Widelcy i noży nie używają.

Są też pomiędzy niemi i panowie, magnaci, mający dom z dachem dranicowym, a do tego stajenkę, z których słyhać rzenie konia i ryk bydła. Bydło są to krowy, bądź z rodzaju zwykłych krów, albo też samice bawołów. Z koni ma każdy magnat zwykle tylko jednego. Stajnie są zawsze tylko budą bez ścian, tylko zwyczajny dach spuszcający się aż do ziemi.

Jawajczykowie, którzy przyjęli obyczaje europejskie i mają majątek po temu, niczem się też od Europejczyków nie różnią, chyba kolorem i mową. Jawa ma jeszcze dwóch udzielnych książąt, którzy są lennikami dworu hollenderskiego, a noszą tytuł jeden cesarza, a drugi sułtana. Są oni nieograniczonymi władzcami swych dzielnic. Ztąd też despotyzm książąt zagłusza dotąd cywilizacyą, którą europejscy wysłańcy pomiędzy Jawajczykami szerzyć usiłują.

Małe wyspy Sunda tworzą długie pasmo, wysokie, górzyste, spiekle od słońca, zamieszkałe częściowo jeszcze przez dzikich. Wszystkie należą do korony hollenderskiej. Jedną z najważniejszych jest

T i m o r , wysunięty najwięcej ku Australiji. Jest to wyspa dzika, otoczona wielkimi górami, wysokimi na 6000 stóp. Stolicą jest Kupang, mająca warowną cytadelę C o n c o r d i a . Port jest tutaj wygodny, ale dla wielkiego mnóstwa krokodylów, nader nieprzyjemne wrażenie czyniący na przybywającego tutaj Europejczyka. I ta wyspa w tropicznym klimacie mieści w sobie bogactwa ze wszystkich trzech królestw, tj. zwierząt, roślin i kopalin. Ztąd też jak o Jawę, tak i o Timor kłóciły się narody europejskie. Portugalczycy założyli Kupang 1688, a w sto lat później 1797 zdobyli go Anglicy przez kapitulacyą. Lecz kra-

jowcy pod radzami, czyli naczelnikami plemion, utworzyli związek, pobili Anglików i przymusili do odwrotu. Tych, którzy nie zdołali wsiąść na okręty pochwytałi, pomordowali i pozarli. W roku 1810 już znowu Anglicy jedną fregatą tylko opanowali Kupang, ale natychmiast musieli uchodzić, ponieważ Timorczycy, pamiętni na przeszłe powodzenie, rzucili się śmiało i najeźdźców znowu zmusili do odwrotu. W rok później tj. 1811 roku zdobyli na dobre Anglicy Kupang, ale go skutkiem Traktatu, zawartego w Paryżu 1814 wydali Hollendrom 1816.

W roku 1793 straszne trzęsienie ziemi spustoszyło Timor, ale nie tylko Timor, cały Archipelag się zachwiał, a mieszkańcy sądzili, że już ostatnia dla nich wybiła godzina. Lawa natenczas buchała ze stu wulkanów, domy runęły, sławna świątynia chińska, stojąca naprzeciw warowni Concordia, została rzuconą aż na wybrzeże morza, które się cofnęło od lądu.

Długiego czasu potrzeba było, nim zdołano naprawić szkody wyrządzone owém trzęsieniem, w czém nawet jeszcze rozruchy i walki z Anglikami przeszkadzały.

W sąsiedztwie Timoru leży druga wyspa, podobna do niego, nazywająca się O m b a y. Nie mówilibyśmy o niej, gdyby nam nie chodziło o wykazanie, że lubo Hollendrzy nominalnie archipelag małych Sunda posiadają, jednakże rzeczywiście narody dzikie są niepodległe i żyją pod swymi radzami, jakby Hollendrow wcale na świecie nie było. Posłuchajmy, jak Jakób Arago niebezpieczne swoje wyjście na ląd opisuje. Opowiadanie jego lepszy da obrazek, aniżeli najlepszy opis.

Ombay jest wyspą wielką, górzystą, najeżoną skałami, wulkaniczną, nagą, wyjąwszy w rozdołach, gdzie wody z wysokości spadając, dają nieco świeżości i życia. Skwarne promienie słońca paliły nas; wycieńczeni majtkowie umierali na straszliwą dysenteriją; bra-

kowało nam wody do picia, gdyż już od dwudziestu czterech dni opuściliśmy Kupang. Załoga okropnie cierpiała z pragnienia. Dowodzący rozkazał zrobić wycieczkę; spuszczone wielkie czołno na morze; dziesięciu majtków i ja, porozumiewszy się względem znaków używanych w razie niebezpieczeństwa grożącego, dążyliśmy ku wiosce, zbudowanej na stokach góry, pooranej głębokimi parowami. Zbliżaliśmy się do brzoza, i serca nasze były z oczekiwaniami a zarazem z obawy. Sądziłyśmy o niebezpieczeństwie, na które się narażamy, już ze samej nieczynności krajowców, siedzących w kuczki pod olbrzymim drzewem. Baczni majtkowie, powoli płynąc, pokazywali masę broni, którą każdy dziki był najeżony.

Jak tylko kotwica zagłębiła się w gruncie, wysiedliśmy, a mając wody zapas, dostaliśmy się do lądu. Jeden Ombajczyk, który do nas przybiegł, i innych dwóch towarzyszy, którzy za nim pospieszyli, wszyscy trzej zapraszali nas, abyśmy czołno na ląd wyciągnęli; lecz udawaliśmy, że ich nie rozumiemy, i dobrze uzbrojeni postępowaliśmy ku licznej gromadzie, złożonej najmniej ze 60 wyspiarzy, ciągle obojętnie siedzących przy drzewie. — Po drodze spróbowałem mój kastaniet; trzej Ombajcykowie zbliżyli się do mnie skwapliwie, przypatrywali się narzędziu ciekawym okiem, i żądali go odemnie, jak gdyby o zapłatę za dobre przyjęcie; odmówiłem pomimo usilnych prośb, które zupełnie do gróźb były podobne. Nieukontentowani z tego trzej dzicy głucho mruczeły, potrząsnęły gwałtownie rękami, potem krzyknęły przeraźliwie; znowu zaczęły mocno gwizdać, rzucając dzikie spojrzenia na liczne strzały powtykane u nich za pasem. Świstanie wychodzące z głównej gromady; w tém jeden z trzech Ombajcyków zbliżył się do mnie, a chcąc jak się zdawało rozpocząć walkę, uderzył mnie mocno pięścią w tył głowy i zrzucił mi kapelusz. Już chciałem strzaskać łeb zaczepiającemu mnie zuchwalcowi; już brałem

się do pistoletów, kiedy towarzysz mój, świadek tej sceny, krzyknął na mnie: „jeśli wystrzelisz, już po nas!“ Poznałem cały ogrom niebezpieczeństwa, zbliżyłem się do kapelusza, który leżał na ziemi, przewróciłem go nogą, podrzuciłem w górę, a kapelusz padł mi prosto na głowę. Na to przeciwnik mój, który już miał ponowić swą zaczepkę, stanął osłupiały, pogadał ze swymi towarzyszami, i wszyscy trzej prosili mnie, abym tę sztukę jeszcze raz pokazał.

Nie dając się prosić położyłem kapelusz na murawie, podrzuciłem go nogą, i jak poprzednio padł zuowu na moją głowę. Wyspiarze obsypawszy mnie oklaskami, wzięli pod ręce i jakby z tryumfem zaprowadzili pod cień rozłożystego drzewa, z oznakami wesołości i podziwienia. — Jesteśmy ocaleni, rzekł do mnie towarzysz — jeśli to radzę zabawi, jeśli nie, już nie wrócimy więcej do korbety; wiesz że umiem trochę po malajsku, nasza zguba jest postanowioną, — starzec ten wydał w tym względzie najwyraźniejsze rozkazy. — No! — rzekłem, — zabawmy ich, a przynajmniej spróbujmy. Co prędziej mój stoliczek, moje kubki i moje kółka (w niebezpiecznych wycieczkach zawsze miałem ze sobą te kuglarskie narzędzia). — Pierwszy to raz zapewne odważono się w obec śmierci próbowania podobnych kuglarstw; ale to jedynie mogło nas ocalić, — to było jedyną nadzieją ratunku.

Było nas sześciu — jak tu się bronić przeciwko sześćdziesięciu ludziom dzikim i okrutnym! Wszystkich oczy były zwrócone na mnie; dzicy wydawali na widok szybkich przeskoków pierścieni i kulek, krzyki zadziwienia, wpadali w prawdziwe konwulsye. Postrzegwszy jednakże, iż największe uszanowanie oddawali zawsze starcowi, spytałem, czy to nie radza; odpowiadano mi, że to on. Usiadłem więc przy nim w kuczki, zawiesiłem u lewego ucha dwa kolczyki mosiężne, zarzuciłem mu na szyję wielki naszyjnik z nadreńskich

kamyków, otoczyłem jego ręce bransoletkami dość zgrabnie, a potem prosiłem go o pozwolenie uściskania, na co po długiem naleganiu radża pozwolił. Wtem radża wystąpił, końcem swego łuku zakreślił okrąg ogromny i wyrzekł silnym głosem: *pamali!* Natychmiast krajowcy odskoczyli, jak gdyby uderzeni iskrą elektryczną.

Zbliżaliśmy się nieznacznie do brzegu; a chociaż słońce zaczęło zachodzić po za wierzchołki gór i drzew, zatrzymałem się jednak dla odrysowania cudownej trofei z zbroi, zawieszonj na gałęziach pandanu. Daleko uprzejmiejszy, aniżelim osądził, jeden z Ombajczyków przyodział się w tę zbroję, i śmiało stanął przedemną, na kształt malarskiego wzoru.

Zachwycony tém, że widział rysy powtórzone na papierze, chciał mi przedstawić widowisko ciekawsze i dramatyczniejsze. Przemówił do jednego ze swoich, który się uzbroił w swój groźny kryk — i oto obaj grożą sobie spojrzeniem i głosem; pochylając się, wyprężając, podskakując jak zgłodniałe pantery, to znowu kryjąc się za pień drzewa, coraz to straszliwsi, coraz to więcej zacięci; potem wywijając młynka swoimi mieczami, zasłaniając się tarczami z bawolj skóry, napadli na siebie z blizka z szalonym rykiem, wyrzucając białą pianę wśród najwściekleszych przekleństw. Walka nie ustała, dopóki jeden z dwóch zapaśników nie padł zmęczony na ziemię. Straszliwa ta scena trwała przeszło kwadrans; podczas niej zaledwie mogliśmy oddychać.

Wszyscy mieszkańcy Ombaju, nawet dzieci pięcio i sześćio letnie, uzbrojeni byli w łuki i strzały; większa ich część nosiła straszliwy kryk, to jest szablę drewnianą, i pochwy strojne były włosami. Łuki są z bambusu, cięciwy z kiszek zwierzęcych. Trudno nam nawet było do połowy naciągnąć te łuki, których ośmioletnie dzieciaki używały z jak największą łatwością; najmłodsi też mieszkańcy téj wioski okazali nam najwięcej nieprzyjaźni; ubiegali się pomiędzy sobą z największą bezczel-

nością w żądaniach, a wpadali w największy gniew z odmowy naszej. Nie ma dotąd nadziei, aby się pokolenie Ombajczyków poprawiło.

Strzały Ombajczyków są z trzciny, grube na palec, opatrzone w kość lub żelazo ząbkowane; oko ich nie może doścignąć w locie, a skóra dwucalowa nie byłaby dość mocnym przeciwko nim puklerzem. Tarcza, za którą wojownik ombajski chroni się przed ciosami przeciwnika, zrobiona jest nakształt dawnych puklerzy greckich i rzymskich, i zakłada się na lewą rękę tym samym sposobem; tarczę zdobią kosmyki włosów, świecące muszle, suche liście palmowe i malenkie dzwoneczki, których dźwięk dodaje może ochoty walczącym. Kirys podobnie jest z bawolej skóry i cały kadłub osłania, przytwierdzony rzemieniem na ramionach, chroni zarazem plecy i tył głowy. Muszle i ozdoby umieszczone są na nim gustownie, pełne wdzięku i oryginalności. W istocie Ombajczyk przystrojony w swój kirys, uzbrojony w łuk, z piersią ozdobioną zabójczymi strzałami, ułożonemi nakształt wachlarza, i gotujący się do bitwy, godzien jest podziwienia. Włos spływa im zwykle na ramienie; nie którzy z nich włosy mają tak bujne, iż głowa wydaje się prawie potworną; wielu z nich przytwierdza je pacytkiem, mającym sześć linii obwodu, zaplata je rzemykiem i umieszcza na czubie kilka piór kogucich. Niezmiernie lubią ozdoby i uszy ich dźwigają zausznicę z kości, kamienia lub muszli; ramiona i nogi obciążają kółkami ze złota, z kości, i bransoletkami z liści wakoi.

Ukończywszy nasze spostrzeżenia i z potrzebną wodą w czołnie, wróciliśmy się pospieszniej, niżeli pierw ku brzegowi; lecz tam dopiero trudność oddalenia powiększyły się w groźny sposób. Wyspiarze chcieli nas zatrzymać jeszcze, zapewniając o swój protekcyi, przez noc całą, lecz daleko zręczniejsi od nich, daliśmy im do zrozumienia, iż powrócimy nazajutrz z mnóstwem rzeczy ciekawych, by im się wywdzięczyć za wspaniałą gościnność, przyniesiemy im siekier, pił i wiele pięknych

strojów. Złudzeni temi wabiącemi obietnicami, naraższy się pierwój długo między sobą, pozwolili nam powrócić na morze. Noc była pochmurna, lecz spokojna; puściliśmy się wiedzeni racami, które korweta od czasu do czasu zapalała, i przybyliśmy do niej o pierwszej z rana, szczęśliwi, żeśmy uszli tak groźnego niebezpieczeństwa, odwiedziwszy lud bez wątpienia najciekawszy na całej kuli ziemskiej.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się od osady statku do połowu wielorybów, że piętnastu ludzi ze szalupy angielskiej, którzy wysiedli w Ombaju dla zaopatrzenia się w drzewo, w straszliwy sposób pomordowano, i zjedzono na kilka dni przed naszym przybyciem.

Wyspy Moluckie albo Korzenne, dzielą się na trzy mniejsze grupy, Banda, Omboiny i Ternates. Wyspy te równają się ze wszystkiemi Jawie, z wyjątkiem na ich korzyść, że mają klimat zdrowy. Same są kamienistymi górami, na których znajdują się piękne doliny poprzerynane strumykami. Z nich dochodzą do nas oprócz wszystkich produktów znajdujących się na Jawie, jeszcze gałki muszkatowe i gwoźdżiki. Holendrzy nie pozwalają na zakładanie ogrodów korzennych krajowcom, a dawniej nawet drzewa tu i tam się znajdujące wycinali, aby krajowcy z nich żadnego nie mogli mieć użytku.

Znajduje się tu w morzu tak zwany rak molucki. Jest on w ogólności podobny do zwykłego raka, ale w ogonie ma trójkątny ostry sztylet, tak długi jak on sam cały, a zatem jedną stopę, którym może poruszać dowolnie na wszystkie strony. Oczywiście, że ów sztylet służy mu do obrony. Krajowcy sztyletu owego używają za ostrza do swych strzał.

Filipiny, należą do Hiszpanii i zawierają razem 4,000 mil kwadratowych; odkryte zostały 1521 przez Magielana, a 1565 dostały się pod panowanie hiszpańskie. Nazywano je Filipinami na cześć ówczesnego króla Filipa II. Ze wszystkich wspominamy tylko

o dwóch największych, te są: *Mindanao*, z miastem tego samego nazwiska, a druga *Manila*, także z miastem tak samo nazwaném. *Mindanao*, jak i wiele innych należy wprowadzić nominalnie do Hiszpanów jednakże mają oni tutaj mało znaczenia. Na *Mindanao* panuje całkiem niezależny sułtan, który o Hiszpanach nic nie wie. Nie mogą też Hiszpanie tutaj swego panowania rozszerzyć, ponieważ klimat jest dla Europejczyków zabijającym. Za to na *Manili* mieszka 150,000 mieszkańców i sam gubernator hiszpański.

Filipiny odebrały także od natury wszystkie warunki, zdolne do utrzymania bujnego życia tak roślinnego, jak zwierzęcego. Wszelkie korzenie i towary kolonialne tu się udają, wszystko co się w ziemię wrzuci rośnie i wegetuje. Dla Hiszpanii znajduje się tu śpi-chlerz, zaopatrujący ją w potrzeby codzienne. Prócz tego morza roją się rybami i innymi zwierzętami przynoszącemi korzyść. Wnętrza wysp pod powłoką zieloną pełne są drogich kamieni, a dno morza pokryte perłowemi muszlami i zwierzętami, które zowią *Trepang* (*holoturia*), o których będziemy mówili na właściwém miejscu. Jednakże rząd hiszpański, nieumiejący we własnym gnieździe porządku utrzymać, tém więcej nie umie go utrzymać zdala, gdzie na 4,000 mil kwadratowych mało jest urzędników. Ztąd Filipiny nie donoszą tyle, ileby donosić mogły, gdyby administracya była lepsza.

Na saméj granicy morza Indyjskiego leży wyspa *Formosa*, czyli *Tai-wan* oddzielona od stałego lądu cieśniną tegoż nazwiska. Od roku 1662 należała do Holendrów, od tego czasu należy do Chińczyków.

Wszystkie wyspy Archipelagu azyatyckiego były dawniej osławione z rozbojów. Nie było zatoki większej gdzieby statki korsarskie nie miały swych składów. Później, kiedy rozpoczęto znowu na tych jegomościach polowania, natenczas poszarpane, głazami, skałami, szczelimi

i gęstemi lasami poprzeryzane wulkaniczne wysepki dawały rozbójnikom morskim wygodne kryjówki.

3. Świat zwierzęcy Oceanu Indyjskiego.

Pomimo że cały obszar wody na ziemi stanowi jeden wielki Ocean, wszakże dla klimatycznych stosunków, oraz innych warunków, każda część znowu Oceanem zwana, ma swe odrębne cechy, z odrębnymi gatunkami zwierząt i roślin. Są ryby żyjące we wszystkich morzach, o ile klimat pozwala, ale są też i inne, które tylko pewne przestrzenie wód zamieszkują. Tak samo i z ptactwem. Zdawałoby się, że właśnie ptactwo, mające sposobność przenoszenia się na skrzydłach po wszystkich zakątkach ziemi i życia na wszystkich punktach mających równy klimat, powinny przynajmniej na jednej i tej samej szerokości znajdować się na całym świecie. Jednakże tak nie jest. Niektóre z nich żyją wprawdzie po wszystkich morzach jednej i tej samej szerokości, ale nie wszystkie.

Ptakiem, tylko na Indyjskim oceanie żyjącym, jest Kruk morski albo Kormoran. Ptaki te są najlepszymi i najzgrabniejszymi rybakami. Toby jednakże jeszcze tyle ich nie zalecało; mają one jeszcze inny przymiot, a tym jest, że się dadzą obłaskawić i ułożyć do łowienia ryb dla człowieka. W średnich wiekach wychodzono na łowy z rarogami i sokołami; dzisiaj wychodzą Chińczycy z krukami na rybołówstwo. Pewien podróżny tak opisuje sposób używania tych zwierząt: Na falach morskich unosiły się dwie łodzie, a w każdej znajdował się jeden rybak z 10 lub 12 ptakami. Skoro je tenże zawezwał, aby wzięły się do roboty, natychmiast owe roztropne zwierzęta poszły na wodę szukać ryb. Swymi zielonkowatemi oczyma umiały one rybę spostrzedz w znacznej głębi. Natychmiast dawały nurka, chwytaly rybę swemi zakrzywionemi dziobami i ukrywały w torbie podgardłowej a potem wypływały na po-

wierzchnią. Na zawołanie Chińczyków przychodziły one jak psy wytresowane, które zdobycz myśliwemu przynoszą, i ryby złowione oddawały Chińczykom, a potem znowu odchodziły, aby swą robotę rozpocząć od nowa. Zadziwia to najwięcej, że jeśli który ptak złowi rybę za wielką na swe siły, wtedy jeden z towarzyszków przybiega mu na pomoc i obaj zanoszą zdobycz do łodzi. Jeśli który z owych skrzydlatych rybaków okaże się leniwym i hula po wodzie nie pilnując roboty, natenczas jego pan uderza we wodę długim bambusowym kijem, nie naruszając ptaka, i poczyną słowami wyrzucać mu jego nieuwagę. W momencie kruk bierze się do swjej pracy, niby roztrzepany uczeń przez nauczyciela do pracy wezwany. W czasie łowienia wkładają krukowi na szyję pierścień, aby złapanej ryby nie mógł połknąć, jednakże z tém trzeba być ostrożnym, żeby się ptak nie udusił.

Z powyższego opisu łatwo poznać, że tak wytresowany ptak jest dla rybaka nieocenionym przewodnikiem, a stąd też zwierzęta te już ułożone są drogie. Płacą za sztukę 9 do 12stu talarów. Samo wychowanie już jest mozolne. Jaj bowiem nie dają wylęgać starym krukowi, tylko kurom domowym. Młode, skoro się wylęgną, wykładają na bawełnę, którą tedy i owedy zlewają ciepłą wodą. Z początku żywią młode krwią węgorza, następnie siekanym węgorza mięsem; skoro podrosną, natenczas od Października aż do Maja (wtedy jest na południowej półkuli lato) codziennie chodzą z niemi na wodę. Od Maja aż do Października trzeba je znowu starannie pielegnować. W drugim roku są już zwykle wytresowane.

Ze wszystkich ptaków jedyny jeden rodzaj jaskółczy ma pomiędzy sobą naśladowce pszczoł, albowiem jak plaster miodu, czyli gniazdka pszczelu używa człowiek na swój pokarm, tak jedna z rodu jaskółek buduje sobie gniazdko, które człowiek

za wielki przysmak spożywa. Jaskółka ta nazywa się:

Salangana (*Hirundo esculenta*) i żyje na Oceanie Indyjskim, jako też i w części na Oceanie Spokojnym. Najwięcej ich znajduje się na Archipelagu azyatyckim, mianowicie na Jawie. Jest ona podobną do naszej jaskółki, tylko że cokolwiek większa. Gnieździ się u stóp skał urwistych, w ich szczelinach, i to tylko w takich miejscach, gdzie strome skały wznoszą się bardzo wysoko. Całą jej uciechą jest bujać nad szumiącemi bałwanami, i gniazda swe buduje też tam, gdzie ryk bałwanów morskich sprawia muzykę podczas wysiadywania jajek, a piana pryska aż do niej. Tu u stóp skał, zawsze stromych, wznoszących się setki stóp w górę, gdzie wrzenie morza ciska falami do wysokości 100 stóp albo wyżej, tu w szczelinach i dziurach znajdują się gniazda milionów salanganów. Tu żadna dotąd noga ludzka dojść nie może; z góry przepaść 1000 stóp, a z dołu morze bałwanami uniemożliwia każde zbliżenie.

A jednakże chęć zysku kusi ludzi, którzy wszystkie trudności pokonać umieją. Chodzi tu o podebranie gniazd jaskółczych, które na stole smakoszków indyjskich i chińskich największym są specyałem. Jaskółki te bowiem lepią takie same gniazda jak nasze jaskółki, ale nie z błota, lecz z materyji lipkiej, która się w ciepłej wodzie zupełnie rozpuszcza. Ptaki te żywią się żyjątkami, które w morzu łowią, a mianowicie ikrą rybą, którą pilnie we wrzących falach wyszukują. W czasie zaś, kiedy mają budować gniazda, wtedy chciwie połykają porosty morskie, które w ich żołądku zamieniają się na pewien rodzaj galarety i używają jej jako materyjału do budowania gniazda. Są one blade żółte, a przy dotknięciu czują się jak niedopieczone ciasto.

Dla tego przysmaczku tysiące ludzi naraża się na niebezpieczeństwo utraty życia, i rzeczywiście set-

ki ludzi je traci. Z dołu na żaden sposób do gniazd dostąpić nie można, tylko z góry. Na drabinach rzemiennych spuszcza się śmiałek kilka set stóp czasem po prostopadłej skale, a jeśli nie ma drabiny, natenczas na linie stósownie dłuższej, kręcąc się jak kłębek. Na końcu liny jest wewiązane poprzeczne drewno; spuszczaający się bierze je pomiędzy nogi i siada na niem, trzymając się drugą ręką liny, do której się dla bezpieczeństwa inną liną przywiązuje. Jako narzędzia ma on w jednej ręce pochodnię, w drugiej długi kij z hakiem na końcu, na plecach kosz do zbierania gniazd, za pasem nóż do zerzynania; prócz tego częstokroć na kolanach synka swego, który się ma wyuczyć tego rzemiosła. Spuszczają się zaś zawsze podczas odpływu morza. Jaskółki gnieźdzą się bowiem po części w jaskiniach skalistych, które morze podczas przypływu zaléwa, chociaż nigdy tak wysoko żeby do gniazda dosięgło. W tych to jaskiniach koniecznie potrzeba pochodni, żeby można gniazda zobaczyć. Są one dla zbierających niebezpiecznemi, lubo rzadko, gdyż tylko w tym razie, jeśli morze nagle burzą zahuczy i jaskinią całkiem napęłni wodą; wtenczas nieszczęśliwy już stracony.

Spuściwszy się przepatruje wszystkie kąty i gniazda zerzniete kładzie w kosz, a kiedy ma dostateczną ilość, natenczas daje znak, aby go w górę windowano. Hak służy mu na to, aby wisząc na hnie, mógł się do skały dociągnąć. Często w takich jaskiniach, gdzie zwykle jaskółki zakładają swe gniazda, mają też zbieracze gniazd porobione rusztowania, na których później stojąc wygodnie gniazda zbierać mogą. Nawet mają oni już swe obwody, które dziennie rewidują, i skoro się gniazdo dojrzeje, zerzynają. Nie wszystkie bowiem gniazda są dobre, jedno za świeże, a drugie za stare. Najlepsze gniazdką są te, w których młode zaczynają dostawać pipci, czyli gdy zaczyna im rość pierze jeszcze w kształcie kolców miękkich; wtedy

gniazda wyglądają blado żółto. Gniazda, w których młode jeszcze są całkiem nagie są za świeże, a z których już wyleciały, lub młode już się całkiem wypierzyły, mało, a nawet żadnej nie mają wartości. Lepsze już tedy całkiem świeże, gdyż gniazda, w których się znajdują jaja niewysiedziałe lub nagie młode aczkolwiek świeże, niedojrzałe, jednakże użyć się jeszcze dają. Dojrzałe gniazda są naturalnie najdroższe; najlepsze ze wszystkich idą na stół cesarza chińskiego i płaci się je złotem. Im gniazdo ciemniejsze, tém tańsze, a jednakże pikol, to jest 1000 sztuk gniazd kosztuje w Chinach przeszło 1000 talarów, z najlepszych zaś kosztuje sztuka dukata.

Rocznie trzy razy odbywa się podbieranie. Młode niebożęta wyrzucają barbarzyńsko w morze. Za każdą razą jaskółka lepi nowe gniazdo. Czwarty raz już jęj dają pokój i pozwalają młodym swobodnie się wychować i wylecieć. Zdawałoby się, że ilość tych ptaków musi się zmniejszać, gdy tymczasem tak nie jest. Zapewne mnóstwo ich wylatuje z gniazd, nim człowiek się do nich dostanie; mnóstwo też gnieździ się na miejscach, gdzie ich człowiek dostrzedz nie może, a wreszcie za czwartym lęgiem mnóstwo ich jeszcze na świat przychodzi.

Mówiliśmy, że owe gniazda mają tak wielką wartość nominalną; ale czy rzeczywiście są tyle warte? Bynajmniej. Z góry zdradzimy, że cała wartość polega na złudzeniu, na imaginacyi. Gniazdo dostatecznie wymyte, moczy się przez 24 godziny w ciepłej wodzie, następnie rozrywa się na drobne kawałki i gotuje z dodaniem korzeni w rosole. Zupa ta jest smaczna, bo rosół z korzeniami doprawny sam w sobie jest smacznym, ale samo gniazdo jest niesmacznym, jałowym, mdłym i nic nie wartym. Przypisują mu zaś własności lekarskie i wzmacniające nerwy, ale to nie prawda.

Dla dogodzenia łakotnisiom chińskim, indyjskim,

a nawet i europejskim, mnóstwo ludzi traci życie. Sposób zbierania, jakieśmy opisali, zdaje się być nie nadto niebezpiecznym. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Liny, chociaż mocne, zrywają się często; jedne przez to, że nie mogą znieść ciężaru, inne się na ostrój skałe przerzynają jak nożem. Często spuszczonego się napada słabość, obłęd, zawrót i spada w morze, gdzie bałwany go natychmiast na wieki przykrywają. Zdarzają się przypadki, że skała, do której przytwierdzona jest lina, urywa się i spada na dół, nie tylko wiszącego przyprawiając o śmierć, ale i stojących u góry przy wiodach za sobą porywa w przepaść. Tu śmierć w rozmaitych postaciach ustawicznie czyha na dyndającego na linie i krążącego niby kłębek nad falami; niechno przypadnie gwałtowny wichur, natenczas strzaska wiszącego o skały, zanim zdołają go do góry wyciągnąć.

A jednak przypadki takie nie odstraszą podbieraczy, którzy śmiało rok rocznie puszczają się na tak niebezpieczną wędrówkę. Do tego trzeba im tylko pobudki, a są trzy rodzaje pobudek, zdolnych ich najwyższą napełnić śmiałością. Są niemi: zysk, opium i zabobon. Zysk, ponieważ zarobek nie mały daje im sposobność prowadzenia wygodnego życia przez cały czas, kiedy się spuszczać w przepaści nie potrzebują. Jednakże, aby nie dali się odstraszyć groźacemi, oczywiście niebezpieczeństwami, kupcy i przekupniarze na kilka dni przed spuszczeniem się wyprawiają swym — że tak powiemy — ofiarom uroczystości i uciechy, przyczem nie żałują im opium, owęj gorzałki oryentalnej. Opium wydobywają z główek makowych niedojrzałych, nacinając je na pniu jeszcze nożem. Z nacięcia wypływa sok biały, który na wolnym powietrzu tężeje. Ma on własność upajającą. Jedna kuleczka wielkości grochu upoi człowieka więcej, aniżeli kilka kielichów czystej okowity. Wiadomo, że pijany nie zważa na nic i w ogień by nieraz skoczył.

Prócz tego uroczystości te łączą z pewnym obchodem religijnym. Bogom mieszkającym w grotach i jaskiniach ofiary w tym czasie czynią z kwiatów, owoców, mięsa lub jarzyn. Dzieje się to na ten sposób, że z procesyją idąc, niosą na misach ofiary i stawiają je na pewnych miejscach w górach. Te ofiary mają sobie bogowie pozbiierać. Najwięcej cześci odbiera teraz w tym czasie „królowa morza“ bogini. Mieszkanie dla niej sporządzają przy domu, gdzie się później mają składać zebrane gniazda. Tu w tym mieszkaniu ustawiają dla niej bardzo eleganckie (według ich wyobrażeń) łóżko, i tu palą jej lampy i kadzidła. A podczas tego, mianowicie w nocy poprzedzającej dzień gniazdozbrania, brzmi muzyka, tańce wyprawiają szalone i opium rozdają gniazдобiorcom we wielkiej ilości, aby nazajutrz jeszcze nie mogli zupełnie wytrzeźwieć.

Na ten sposób ludzie na pół pijani spuszcza ją się śmiało i śmiało stawiają czoło niebezpieczeństwom.

Z ryb wspominamy tu tylko o strzelcu, raczej o sikawce. Jest to rybka z długim pyskiem. Będąc zmuszoną żyć we wodzie, a pożywienia szukać sobie po za wodą, odebrała od natury sikawkę, którą niby strzelec flintą, potrafi sobie zdala upolować zdobycz. Zwykle czatuje nad wybrzeżem, a ujrawszy jaki owad nad wodą, na skale lub na innym jakim przedmiocie, pryśnie na niego strumieniem wody, a owad zmoczony spada i staje się zdobyczą zgrabnego łuskowatego łowca.

Najważniejszym produktem Morza Indyjskiego są perły.

W tropicznych okolicach wszystkich oceanów żyje muszla, zawierająca w sobie perły. Perłowa muszla (meleagryna margaritifera, po polsku zwany inaczej: perłopław'), jest wielkości pięści, podobna prawie do rzecznych lub w naszych jeziorach się znajdujących.

Sama perła znajduje w muszli i jest niczém więcéj jak wyrostem na wewnętrznej stronie skorupy. Wrost ten rośnie i zamienia się w kulkę porcelankową. Czasami znajdują się takie kamyki perłowe w muszli zupełnie wolno leżące, nie przyroste. Jakim sposobem kamyki te powstają, trudno napewno powiedzieć; różni różnie to tłómaczą. Jedni twierdzą, że zwierzę w jakiejś chorobie wydaje ze siebie ciecz, która osiadając na skorupie twardnie i zamienia się w owę do porcelany podobną masę kamienistą. Inni twierdzą, że w morzu żyje robak, który stara się przebić i prześwidrować konchę aby się dostać do ciała w skorupie mieszkającego zwierzęcia. Muszla, aby zapobiedz temu, cieczą stara się zagrożone miejsce wzmocnić, a ciecz ta składana na jedno miejsce, tworzy wreszcie perłę; warstwa bowiem układana na warstwę w jedném miejscu, tworzy wreszcie wyrost, który na małym tylko trzonku wisi przy skorupie, a dalej rozszerza się i wreszcie zaokrągla. Jeszcze inni utrzymują, że w muszlę otwartą wpada kamyk lub inny jaki twardy, ostry przedmiot, który muszlę uciska; aby się zabezpieczyć przed ostrymi kątami wpadłego przedmiotu, obciaga go muszla cieczą i tym sposobem czyni go gładkim.

Najnowsze jednak badania całkiem inaczej o tém sądzą. Według spostrzeżeń poczynionych, ale co prawda nie całkiem udowodnionych, perłowa muszla podlega takim samym plagom, jak i inne zwierzęta lądowe, to jest, że się na niej zgniéżdża robak, który się żywi jej sokami. Muszla nie mając ani rąk, ani nóg, ani nie mogąc się opędzić pasożytowi tarciem lub innym jakim sposobem, których zwierzęta członkowane mają tak wiele, ucieka się do ostatecznego środka, to jest wydziela ze siebie materją, służącą jej zresztą do budowania konchy, i tą materją pasożyta, przez co go zasklepia na śmierć. Czując potém pomiędzy sobą a konchą grupkę, ustawicznie ją

jeszcze okłada perłową cieczą, aż utworzy kamyk staje się za wielkim.

Stosując się do powyższej teoryi wpadli niektórzy na myśl kunsztownego prowadzenia muszli do tworzenia perły. W tym celu biorą muszlę, otwierają i wpuszczają w nią obcy jaki przedmiot, który rzeczywiście z czasem znajdują powleczonym materyą perłową przez co staje się perłą, jak każda inna. Do „dojrzenia“ perły potrzeba 7 lat; przed tym czasem są nie-dojrzałe, a po tym czasie muszla je sama z siebie wyrzuca, ponieważ jej są za duże i zanadto miejsca zabierają. Przypuszczają inni jednakże że to wyrzucenie nie jest dobrowolne ale przypadkowe; czyli że nie dzieje się z wiedzą i wolą zwierzęcia, ale jest spowodowane jakim nieprzewidzianym wypadkiem, na przykład przez nagłe przewrócenie otwartej muszli, przez poruszenie jej lub kulanie, przez zwierzęta podwodne, albo uderzeniem falami o skały. Kunsztowne jednakże „zaperlanie“, czyli „szczepienie pereł“ posłużyło do zakładania perłowych „ławic“. Są to pewne miejsca na morzu, które mają dno nie nadto głębokie, ale i nie za miątkie, stósowne do rozplodu muszli. Zwierzę to, pozbawione wszelkich środków ruchu, położone na jakie miejsce, zawsze na niem pozostaje, jeśli to miejsce jest dość głębokie, aby fale dna nie rozruszały. Ławice takie stoją pod dozorem rządu który co 7 lat ławice owe rewiduje i albo je wydzierżawia do natychmiastowego użytku, albo też sam połowem pereł się zajmuje. Zdaje się, że muszle tylko do pewnego wieku mogą ze siebie płyn perłowy wydawać, gdyż niektóre ławice całkiem stały się niezdawnymi do użycia, ponieważ muszle są puste. Inne miejsca są w perły bardzo obfite. Ztąd też, aby przedsiębiorcy i dzierżawcy nie ponieśli nadto wielkiej szkody, każe rząd roczne przed połowem rewidować ławice, na porządku rocznym będące, to jest te, które siedm lat leżały nienaruszone. Według rezultatu rewizyi potem

następuje zwykle licytacja, jeśli rząd sam połowem się nie zajmie.

Perłowe muszle znajdują się, jak już powiedziano po wszystkich morzach klimatu tropicznego; najwięcej znajduje się w Oceanie Indyjskim. Główne ławice leżą w zatoce perskiej i przy Cejlonie, ale i bardzo wiele ich znajduje się na Archipelagu azyatyckim, przy Sumatrze, Borneo, Jawie i wszystkich innych wyspach.

Opiszemy tutaj sposób poławiania pereł przy Cejlonie, jako głównym punkcie, z kąd pereły dobywają. Ze wszystkich znowu miejsc przy Cejlonie uważają za to kę M a n a a r za główne zbiorowisko muszli. Tu na kilka mil od lądu ciągnie się pas 24 mile długi, zupełnie muszlami perłowemi zasiany.

Skoro pojedyncze ławice wydzierzawione natenczas zaczynają się przygotowania do połowu nad wybrzeżami zgromadza się natenczas liczba do 150,000 ludzi rozmaitego koloru, rozmaitej narodowości i rozmaitego języka. Tu obok wykwitnie ubranych urzędników znajdziesz nagiego Indyanina, obok w bieli chodzącego dumnego Cyngala, widzisz potulnego robotnika. Znajduję się tu urzędnicy, kupcy, dzierżawcy, handlarze, robotnicy, pomocnicy, jubilerzy ślifierze pereł, a przedwszystkiem najgłówniejsza kasta... nurki. Na płaszczyźnie nadbrzeżnej naraz wyrosło ze ziemi miasto; domy, budy, szałas, chaty to płócienne, to bambusowe to trzciniowe; gwar, hałas i ruch nie do uwierzenia. Na wschodzie jeśli się zjedzie kilku, to tak głośno rozmawiają, taką sprawią wrzawę, tak gwałtownie całym ciałem gystykulują, że zdaje się jakoby się znajdowali w najzajadlejszej kłótni i grozili sobie wzajem zapamiętałe. Hałas i wrzawa taka już są nie małe, kiedy tylko kilku ludzi znajduje się razem, a cóż powiedzieć o wrzawie, jaką sprawia tłum sto-tysięcznogardłowy! Niezliczone słupy dymu wzbijają się

niebiosa, a zapach sporządzonych potraw napełnia okolicę.

Wreszcie przygotowania pokończzone; dzierżawcy pereł, właściciele okrętów, najęli stósowną liczbę majtków, pomocników i nurków, i wreszcie rozpoczyna się połów na miejscach każdemu przez policją wyznaczonych. Czern łodzi odbija od lądu i wypływa ze zatoki na swoje stanowiska. Strzał armatni oznajmia chwilę, w której wolno nurkom skoczyć pierwszy raz w morze.

Łodzie indyjskie są bardzo prostej konstrukcyi, zwykle splecione szczelnie z łyka kokosowego. Choć plecionka ta jest bardzo szczelna, jednakże nie tak nieprzepuszczalna, jak kanoety Indyan amerykańskich, lub kajiki Eskimosów. Owszem, w każdej indyjskiej łodzi muszą się znajdować osobni pomocnicy, którzy więcej nic nie mają do czynienia, jak tylko czerpać nasiąkłą wodę — i zaiste mają ci ludzie pracy ledwo nie nad siły.

Na każdej łodzi znajduje się 10 lub 20 nurków; na mniejszych dziesięć, na większych dwadzieścia; resztą zależy też to od głębokości morza. Nie jest to bowiem tak łatwo spuszczać się nieraz 100 stóp we wodę i tam czas niejaki pozostawać bez powietrza. Indianie nie mogą spuszczać się w kosztownych dzwonach, tylko tak jak stoją. Jedyne w co się zaopatrują jest to gąbka napuszczona oliwą; w uszy kładą sobie bawełnę, a nos ściskają rodzajem szczypcy, albo też zatykają bawełną. Gąbka wielka napuszczona wisi mu u pasa; skoro nurek chce odetchnąć, przykładają do ust. Pory i dziury bowiem w gąbce zasklepiają się oliwą, która nie dozwala powietrzu z nich uchodzić i tak, aczkolwiek słabą, jednakże biednemu nurkowi jakkolwiek sprawia ulgę. Przedewszystkiem jednakże zaopatruje się nurek w — talizmany; są to liście pewnego drzewa, którym Indianie przypisują cudowną moc, chroniącą ich od napadu drapieżnych

ryb; Indyanin ufa więcéj takiemu talizmanowi, aniżeli długiemu nożowi, którego zresztą jednak ze sobą wzięść nie zaniedbuje, dla odpędzenia rekinów, a nawet i innych nurków, którzy pod wodą umieją prowadzić rozboje.

Nim nurka spuszcza na dno, przypasują mu do bioder sieć w kształcie torby, w którą zbiera znalezione muszle, a do nóg przywiązują kamień, i potém szybko spuszcza ją na dno. Przy każdéj linie stoją strażnicy, którzy bardzo pilnie uważają na każde jéj drgnienie. Zwykle bowiem najmniejsza nieuwaga przyprawia nurka o śmierć bądźto z uduszenia, bądźto od kłów drapieżnéj ryby.

Jak téż długo może nurek pod wodą wytrzymać? Pytanie to długo było nierozstrzygniętém, według bowiem powieści, umieją niektórzy z nurków zabawić pod wodą kwadrans. Według bajek sycylijskich żył w XIII wieku nurek Cola Pesce, który więcéj żył pod wodą aniżeli na wodzie. Żywił się pod wodą żywem rybami, a pływać umiał tak szybko, że prześcigał okręty. Inny, Franciszek de la Vega, skoczył pono w młodości w morze, i dopiero po piętnastu latach złowiono go w sieci. Ale nie długo cieszone się nim na lądzie, gdyż uciekł i zniknął bez śladu; zapewne znowu wskoczył w morze.(?!). Na niektórych wyspach Morza Śródziemnego ma panować zwyczaj, że żadnemu z rybaków, a mianowicie trudniących się połowem koralu, nie wolno się przedzéj żenić, dopóki pięciu minut nie wytrzyma pod wodą.

Wszystko to tak brzmi niewiarogodnie, że wreszcie dr. Lefèvre postanowił zbadać tę sprawę i przekonać się, ile w tych powieściach prawdy. Do tego nadarzyła się sposobność. W porcie N a v a r i n o zatonała flota turecka; aby ile można z kosztowności wydobyć z głębi morza, zwołano mnóstwo nurków, którzy mieli na dnie morza pracować. Wykazało się, że wieści o ich wytrzymałości były przesadzone; żaden z

nić nie wytrzymał nawet dwóch minut, a liczba sekund przecięciowa, jak długo mogli pod wodą zostawać, wynosiła siedemdziesiąt i sześć. Jeśli który z nich dłużej pod wodą zabawił, natenczas skoro dostał się na powierzchnię, płynęła mu krew z ust i nosa, a nawet i z oczu. Jednakże żartowali sobie z tego, gdyż na godzinę, pomimo płynienia krwi, rzucali się czasem cztery razy w morze.

Żeby Indianie mogli być większemi wirtuozami w sztuce przebywania pod wodą, na to nie ma żadnych dowodów — są oni, jak i wszyscy ludzie, podlegli ogólnemu prawu. Tak u nich jak i u wszystkich ludzi oddychanie musi się odbywać, a zatem nie można przypuścić, aby Indianie mieli umieć dłużej nad dwie wytrzymać minuty.

Spuszczony na dno morza nurek rzuca się na twarz i zaczyna odrywać muszle od dna to rękoma, to nożem. Nie przebiera on tam, ale chwytą co mu wniknie pod rękę. Skoro się sieć napełni, albo gdy uczuje już potrzebę odetchnienia, natenczas daje umówiony znak liną, aby go wyciągnąć. Jeżeli strażnik przy linie na znak ten nie uważał, natenczas poczęści śmierć nureka czeka niechybnie, albowiem nurek zwykle dopiero daje znak, gdy mu gwałtowna potrzeba. Rzadko się jednakże zdarza, aby coś podobnego zaszło, ale zdarza się to, jeśli kto chce się na nurku zemścić — przypadki takie zachodzą. Kiedy nurek stanie w łodzi, natenczas odbierają mu sieć, a on sam pada w kął łodzi i tam przez niejaki czas leży nieruchomie, nie mogąc nawet słowa ze zmęczenia przemówić. Wytechnawszy rzuca się napowrót w morze. Czynność tę powtarza on trzy lub cztery razy na godzinę, wynosząc ze sobą zwykle po 100 muszli. Dobry nurek może na dzień 50 razy odbyć podróż na dno morza; aż wreszcie rzuci mu się krew ustami i nosem, i dalszych wycieczek zaniechać musi.

Tak mozolną pracę opłacają przedsiębiorcy małemi tylko pieniędzmi; najczęściej zaś przypuszcza się w zapłatach nurka do działu, tak że pewną ilość razy zanurza się dla pana, a raz dla siebie. Przyczyna bardzo pilnie rewidują nurków, aby nie oszukali i nie schowali sobie pereł. Pomimo tego umieją oni na dnie morza wyszukać perłę i połknąć ją, mianowicie na dnie znalezioną, co się często zdarza.

Że nurek nie przebiera pomiędzy muszlami, tylko chwyta co mu pod rękę podpadnie, przeto nikt wiedzieć nie może, co wyniósł do łodzi. — We wielkich muszlach częstokroć nie ma ani jednej perły, podczas gdy znowu w drobnych mogą się ładne znaleźć okazy. Na dnie morza nie ma czasu odbywać rewizyi, tylko brać co się nadarzy, a śpieszyć się. Dopiero w łodzi następuje rozgatunkowanie podług wielkości. Ostatnia czynność czasem się tylko odbywa, gdyż, jak już powiedziano, nie można nigdy wiedzieć, które muszle zawierają perły, bo one są wszystkie szczelnie zamknięte, a ztąd gatunkowanie nie ma prawie żadnego znaczenia.

Wreszcie łodzie zbliżają się do lądu, gdzie wszystko z gorączkową wyczekuje niecierpliwością. Tu znajdują się już kapłani indyjscy z czarnoksiężnikami, i tak jedni jak i drudzy zaklęciami swemi starają się nakłonić morze do zachowania się spokojnie, a rzucaniem, paleniem i tarcie amuletów wypraszają łaskę bogów dla nurków. Nawiasem powiedziawszy, nie wiele to nurkom pomaga, gdyż znaczna ilość tych biédaków ginie, bądźto z uduszenia, bądźto w paszczy rekinów, bądź téż od wyziewów zabijających, które perłowe muszle ze siebie wydają.

Skoro łodzie przybiją do brzegów, wszystko się ciśnie, aby zobaczyć, jak się połów udał, ile przywieziono. Nie każda bowiem łódź ma równe szczęście. Nurek częstokroć znajdzie wielką obfitość muszli, tak że w przeciągu czasu, jak może pod wodą bez oddychania wytrzymać, całkiem sić swą napełni, do czego potrzeba

zwyczajnie stu muszli; ale się téż zdarza, że zanurzenie się jego było całkiem próżne, albo ledwie tylko kilka znalazł muszli — i to jeszcze czecznych. Ztąd téż dzierżawcy ławic perłowych, lub właściciele łodzi ciekawi czy zarobią lub stracą na tegorocznym połowie.

Rozpoczyna się teraz handel tak perłami już z muszli dobytymi, jako téż i muszlami jeszcze nieotworzonymi, które się kupują i sprzedają na chybił trafił. Tym rodzajem handlu trudnią się mniej dzierżawcy połowu, na ten sposób handlują zwykle tylko właściciele łodzi, robotnicy, pomagacze i nurki, których wszystkich zaplatają się zwykle tylko perły. Ludzie ci nie zatrzymują pereł na spekulacyą, to jest nie czekają, dopóki nastąpi szlifowanie i polerowanie, ale natychmiast je pozbywają za fraszkę. Naprzykład pozbywają perłę za kilka polskich groszy, która za pięć minut, skoro ją wypolerują i przedziurawią, kosztuje do trzydziestu talarów.

Wspomnieć tu należy o innym handlu muszlami perłowymi zaraz jeszcze nad morzem. Jest to gatunek loteryi. Właściciel perłowych muszli odkłada pewną ilość na kupkę i puszcza na losy, albo każe wygrywać w kostki, lub inny jaki z rozlicznych tego rodzaju sposobów. Oczywiście, że często za bardzo drobną cenę można w momencie stać się bogaczem, gdyż w jednej tylko muszli może znajdować się perła wartości kilku lub kilkunastu tysięcy talarów. Prawda, że rzadko się to zdarzy. Jednakże przez loteryą nurki i pomocnicy więcej pieniędzy dostają, aniżeli gdyby ryczałtem sprzedawali swe muszle; kilku razem łatwo da się nakłonić do ryzykowania drobnostki pieniężnej, ale zakupić za większą sumę nikt się nie odważy. Muszle mają znaczną siłę, i tak mocno obie pokrywy konchy zamkną, że ich otworzyć nie można. Nikt tedy nie wie, ile tam pereł, lub czy w ogóle jakie się w muszli znajdują. Często i bardzo często w całej kupie ani jednej nie ma perły, lubo znowu na innéj ma-

tęj kupce w każdej muszli może się znajdować siedm do jedenastu perłowych kamyków.

Dzierżawcy lub właściciele ławic perłowych, którzy połów pereł na większą odprawiają skalę, nie sprzedają muszli, ale sypią je na kupy i wystawiają na żar słońca. Muszle, jako zwierzęta wodne, wkrótce umierają i same się otwierają. Ponieważ jednak trzeba kupy takiej strzedz przed złodziejami, dla tego częściej jeszcze wkładają świeże muszle w beczki, które potem szczelnie zabijają. W kilka dni muszle zgniją i perły albo wypadają, albo też pozostają przyrosłe do konchy. Następuje teraz najgorsza i najbrzydsza robota. Niczem jest spuszczenie się na dno morskie obok pracy i grzebania w zgniliźnie z ciał muszlowych, które takie w koło wyziewają choleryczne powietrze, że robotnicy co chwilę mdleją, a niektórzy i śmiertelnie zachorują. A jednak to konieczną, gdyż inaczej nie znalazłoby pereł.

Perłysą trojakiemu gatunku: zupełnie drobne, większe i dochodzące wielkości wiśni. Ostatnie znowu gatunkują na okrągłe, tańsze, i gruszkowate, najdroższe. Konchy perłowej muszli, zwane perłową macicą, używają do wykładania rozmaitych rzeczy, na przykład noży i rozmaitych innych.

Pokrótkę uczynimy tu historyczną wzmiankę o perłach, o ile nam starczy miejsca.

Już w najdawniejszych czasach znano perły i używano ich do stroju. Na wschodzie dawnemi czasy perły miały wartość dyamentów. Opowiadają, że perła jest to kropla nieba, która spadszy dostaje się do muszli i tam twardnieje. Indyjanie opowiadają, że bóg Kriszna był pierwszym, który zrobił zastósowanie pereł, albowiem znalazłszy je w morzu, ustroił w nią swą córkę Pandaję. Pismo św. wspomina w księdze Job. 28. 18. o perłach, a Salomon, czyniąc o nich wzmiankę, mówi, że „mądrość i cnotliwa żona lepsze są od kosztownych pereł“.

Jak już powiedziano, szczególnie na wschodzie perły miały wielką wartość. W Chinach płacono nawet niemi podatek, a nie było pomiędzy wszystkimi posagami bogów może ani jednego, któryby tak u Chińczyków jako i Indyan nie był ustrojony w perły. Kleopatra, ostatnia królowa egipska, posiadała dwie naonczas największe i najkosztowniejsze perły, które nosiła jako zausznice. Pewnego razu oświadczyła, że mogłaby wyprawić sobie i spożyć ucztę, któraby kosztowała 550,000 talarów. Nie chciano jej wierzyć, ztąd Rzymianin Antoniusz założył się z nią nawet, że tego nie dokona. Na czas oznaczony Kleopatra wyprawiła ucztę, ale nic nie okazywało, aby Kleopatra mogła słowa swego dotrzymać, ponieważ stół wcale nie był wystawnie zastawionym. Antoniusz sądził, że na pewno jego będzie wygrana, wreszcie nadeszły wety po wcale skromnym obiedzie. Za całe wety postawiono przed Kleopatrami naczynie... z octem. Kleopatra z uśmiechem wyjęła jedną perłę ze zauszniczy wartości setki tysięcy talarów i wrzuciła ją w ocet, w którym się perła rozpuszcza w momencie. Skoro się perła rozpuściła, Kleopatra ocet z naczynia wypiła, a kazała powtórnie nalać octu, zamierzała i drugą rozpuścić perłę, czego atoli Antoniusz nie dopuścił, uznając się zwyciężonym.

Jak większe okazy pereł są drogie, niech posłużą następujące daty. Juliusz Cezar kupił perłę za 330,000 talarów. Kaligula, cesarz rzymski, miał strój perłowy wartości 1½ miliona talarów. Papież Paweł II kupił perłę za 140,000 dukatów.

I w Polsce perły były ozdobą tak mężczyzn jako i niewiast. Wystawność i kolosalne majątki Polaków dają przypuszczać, że i tu pomiędzy magnatami znajdowały się perły wielkiej wartości. Kontusze ozdobne były perłami, a pochwy do szabli formalnie nabijano niemi.

W rejestrze szat i strojów królowej polskiej Ja-

dwigi czytamy, że nawet kożuchy miała złotem i perłami lamowane. Katarzyna, królowa polska, małżonka Zygmunta Augusta, posiadała niezliczoną ilość pereł, pomiędzy którymi 11 wielkich „jak gruszki“ według spisu z dnia 8go Siępnia 1553. Perły te gruszkowate były nieocenionej wartości.

Tak jak inne rzeczy, tak i perły podlegają modzie. Pokup ich coraz się zmniejsza, albowiem z czasami nastają i nowe wyobrażenia i nowe wymagania.

IV. Ocean Wielki czyli Spokojny.

1. Wiadomości wstępne
Największy kocioł wody, Ocean zwany Wielkim albo Spokojnym, odkryto najpóźniej ze wszystkich. Po odkryciu Ameryki, którą jeszcze zawsze uważano za wschodnie wybrzeża Azji, nikt nie sądził, ani się domyślał, że po za nowo odkrytym światem może się jeszcze znajdować ocean. Wprawdzie Marko Polo, Wenecyanin, widział Ocean Wielki na własne oczy w 13. wieku, nie wiedząc jednak, że widział nowy Ocean. Znajdował on się w Japonii, a zatem go musiał widzieć. Opowiadał też o wielkiem morzu na wschód się rozciągającym, ale nikt na to nie zważał. Tak 200 przeszło lat upłynęło od téj wzmianki, nim noga europejska z wiedzą, że się znajduje nad nowem morzem, nad niem stanęła.

Roku 1513 wysłał namiestnik hiszpański na Hiszpanioli odważnego Europejczyka nazwiskiem Nunez de Balboa na wybrzeża stałego lądu z rozkazem zawarcia stosunków handlowych, co tyle znaczy, ile mieszkańcom pozabierać złoto, perły i inne drogie kamienie. Balboa umiał się znaleźć w swym nowym urzędzie i tyle nagromadził złota, jak może nikt przed nim. Ale kiedy przyszło do podziału, powstała pomiędzy ludźmi, których Balboa miał ze sobą, kłótnia, ponieważ ten i ów czuł się pokrzywdzonym, dostawszy za mało. Tuż przy kłócących Europejczykach stał

naczelnik indyjski, który zdziwiony sprzeczką, zawołał: „Jak wy się możecie o takie fraszki kłócić! Jeśli wam chodzi o nie, to wam wskażę kraj, gdzie się całe góry złota znajdują. Kraj ten leży sześć słońc dalej nad drugim morzem!”

Balboa, usłyszawszy o tém, natychmiast prosił przez posłańca namiestnika, aby mu przysłał odpowiednią ilość ludzi do odkrycia owego drugiego morza i owych gór złota. Niedługo potem już Balboa był w drodze na czele 190 Europejczyków i 1000 Indyan, niosących żywność i bagaże. Droga jednakże była uciążliwsza, aniżeli się spodziewano; szerokie strumienie i dziewicze lasy posplatane lijanami stawiały tamę, którą tylko z trudnością przebywać się udawało. Dalej musiano staczać walki z drapieżnymi zwierzętami, i z gorszymi od zwierząt drapieżnych ludożerczemi szczepami Indyan. Tymczasem dni upływały jedne za drugimi, a końca podróży nie było; zamiast sześciu byli już 26 dni w drodze, a ani złotej góry, ani drugiego morza nie było widać, ani nawet nie dostrzeżono znaku wskazującego na bliskość morza. Zaczęto teraz się domyślać, że naczelnik indyjski wywiódł ich w pole i umyślnie wysłał, aby poginęli tak z ręki ludożerców, jak i od kłów dzikich zwierząt. Wreszcie weszli na wysoką jedną górę, a z niej, o radości! ujrano okiem niezmierzone nowe morze. Widok ten ożywił wszystkich, a wspaniałość nowo odkrytego świata i wielkość samego odkrycia taką wszystkich napełniła błogością, że padszy na kolana, złożyli wprzód dzięki Temu, który ich aż dotąd przyprowadził. Następnego dnia, to jest 29go Września 1513 roku, dostali się do samych wybrzeży; wtedy Balboa, trzymając miecz w prawej ręce, a chorągiew hiszpańską w lewej, wszedł po kolana w morze i objął je uroczyście w posiadłość dla korony hiszpańskiej po wszystkie wieki, wraz z wyspami, łódami, narodami, miastami i wsiami, któreby się na niem znajdowały.

Kraj ten, gdzie było tak wiele złota, zowie się Peru.

Balboa znalazłszy Peru na wysokim stopniu kultury, nie odważył się uderzyć na lud, mogący mu silnie stawić czoło, dla tego nazbiérawszy mnóstwo złota, posłał je królowi z prośbą o posiłki i o udzielenie władzy namiestnika odkrytych krajów. Król dary przyjął, ale zamiast uczynić Balboę namiestnikiem, kazał go raczej uwięzić i wtrącić do lochu. Davila, nowy namiestnik, wykonał wyrok królewski. Kiedy się Balboa dowiadywał o co go uwięziono, dowiedział się, że dla tego, iż królowi nie posłał wszystkich skarbów, zatrzymawszy sobie więcej, aniżeli oddał koronie. Tymczasem jednakże tak nie było i Balboa odzyskał wolność, a nawet został zięciem gubernatora. Wreszcie na rozkaz uprzątnienia odkrywcy nowego morza, uwięziono Balboę i niewinnie stracono mieczem katowskim roku 1517.

Przekonano się, że Ameryka jest osobną częścią świata, i że po za Oceanem Wielkim leżą Indyje, gdyż Ocean Wielki z Indyjskim zapewne się zlewają. Lubo przypuszczenia te są prawdziwe i istotnie rzecz się tak ma, jednakże dla Hiszpanii nie wielką to było korzyścią, ponieważ po Oceanie Wielkim pływać nie mogli, z téj prostej przyczyny, że z Europy płynąc na zachód zagradzała im drogę Ameryka, a na wschód dla linii demarkacyjnej papieża Alexandra IV płynąć im nie było wolno. Jedyne co im pozostało, było poszukiwanie przejazdu przez ląd stały Ameryki, albo wreszcie jej opłynienie.

Pierwszy który się podjął wyszukania przejazdu, był Juan Diaz de Solis. Roku 1515 puścił się on na morze i skierował całkiem ku południowi. Po jakim czasie ujrzał wielką przerwę w lądzie, którą uważał za koniec morza, albo też za przejazd. Ponieważ woda stawała się coraz „słodsza“, przeto przekonał się, że wpłynął w ujście jakiejś wielkiej rzeki. Było to

ujście rzeki La Plata. Tutaj chciał Diaz wylądować. Kiedy się znajdował na wybrzeżu celem wyszukania dobrego miejsca na rozbicie namiotów. Indyanie wypadli na niego i towarzyszy znieścacka, zabili, upiekli i pożarli. Załoga pozostała zaś wróciła smutna i zniechęcona do Hiszpanii.

Niedługo potem poszedł drogą Diaza inny odważny żeglarz hiszpański, Fernando de Magelhaens, albo Magiellan. Był on urodzonym Portugalczykiem, ale że w ojczyźnie do niczego, dojść nie mógł i zasługi, jakie położył, nie przyniosły mu pożądaných zaszczytów, więc wystąpił ze służby swęj ojczyzny, a przyjął służbę hiszpańską. Niedługo udało mu się uzyskać od rządu hiszpańskiego 5 okrętów z żywnością na 2 miesiące i z 246 ludźmi, z którymi 10 Sierpnia 1519 roku wypłynął na nowe odkrycie. Równie jak Diaz tak i Magiellan, złudzony wielkością zatoki, sądził, że ujście La Plata jest albo końcem Ameryki, albo też wielką cieśniną; tylko okoliczność, że woda coraz stawiała się słodsza pouczyła go, że się znajduje w ujściu olbrzymiej rzeki. Popłynął też dalej na południe, aż dopłynął pod 49° szer. południowej do wygodnego portu, który nazwał portem św. Juliana. Tutaj widział się zmuszonym przezimować, albowiem zima na dobre się rozpoczęła. Oficerowie zaś i załoga — wszystko ludzie z pod gorącego nieba, zaczęli szemrać, albowiem nie dla tego wypłynęli z Magiellanem, ażeby marznąć na mrozie antarktycznym, tylko nabierać złota i drogich kamieni. Tu zaś drogiemi kamieniami były bryły lodu. Ztąd też załoga się zbuntowała. Magiellan potrafił jednakże bunt uskromić, kazawszy herszta buntowników *Mendoza* z kilkoma współnikami powiesić, a drugiego herszta, imieniem *Kartagena*, pozostawił na wybrzeżu patagońskim, kiedy 24. Sierpnia 1520 r. puścił się w dalszą drogę... Dnia 21 Grudnia wpłynął w cieśninę, zwaną *magiellańską*, a przebywszy niebezpieczny ów kanał, wypłynął 27go Listopada 1520 roku ze czterema

okrętami na Ocean Wielki. Piąty okręt zdezertował jeszcze przed wpłynieniem do cieśniny. Tymczasem Magielan płynął dalej w kierunku zachodnim. Podróż trwała bardzo długo, bo 3 miesiące i 20 dni. Żywność się wyczerpała — wody zabrakło, a żeglarze nie mogli do żadnego dopłynąć lądu, gdzieby się mogli zaopatrzyć w prowiant; tylko dwie jedyne odkryli wysepki, ale trafili właśnie na niezamieszkałe, puste, nagie, od słońca wypalone wyspy. Tak już daleko głód im dokuczył, że gotowano zupę z kawałków skór zwierzęcych, na przykład ze starych trzewików, pasów i innych. Wreszcie 6go Marca 1521 r. przybito do wysp Z b ó j e c k i c h. Ztamąd płynięto dalej, aż do Filipinów, i nawet ujrzano okręt portugalski na pełnem morzu, co wszystko wielce ich ucieszyło. Teraz wiedział już Magielan gdzie się znajduje i widział, że opłynął prawie ziemię na około. Postanowił tedy popłynąć do Moluków. Nim jednakże opuszczono archipelag Filipinów, statki jeszcze raz zawinęły do przystani małej wysepki, zwanój M a k t a n. Tutaj wyprawiono dnia 27go Kwietnia 1521 r. uczy na cześć Magielana, przy której to sposobności dzielny ów mąż znalazł śmierć. Historia nie wyświeciła, kto był sprawcą zabójstwa Magielana, twierdzą bowiem jedni, że zginął z rąk własnej zbuntowanój załogi, a załoga ta zaklinała się znowu swego czasu, że go zabili wyspiarze.

Po śmierci Magielana Sebastian d' Elcano, porucznik okrętowy, objął dowództwo nad flotą. Okrętów były jeszcze cztery, ale tak zniszczone, że jeden musiano rozebrać, aby pozostałe naprawić. Kiedy dokończono naprawy, odbito wreszcie od Filipinów i flota hiszpańska 8go Listopada dostała się do T i d o r e, jednej z wysp moluckich. Niepodobna opisać wrażenia, jakich wywarł na Portugalczykach widok przybywających Hiszpanów ze zupełnie innój strony świata, z okolic, na które nikt dotąd się wypłynąć jeszcze nie odważył. Tymczasem Hiszpanie znajdowali się w przykrém po-

łożenia; okręty tak były podziurawione, że pomimo naprawy na Filipinach, groziły zatonięciem. Trzeba było drugi rozebrać okręt i nim naprawić dwa pozostałe. Odbito wreszcie od Moluków i po niesłychanych trudach dostały się oba okręty do Przylądku Dobrzej Nadziei. Było wtedy jeszcze 46 Hiszpanów i 13 Azyatów wziętych z wysp Archipelagu azyatyckiego. Dnia 6go Września 1522 roku dostali się wreszcie do Hiszpanii i wpłynęli do portu St. Lucar, zkąd wypłynęli. Powrócił tylko jedyny jeden okręt z 13 stu Hiszpanami i 3 Azyatami.

To była pierwsza podróż na około ziemi, a trwała 3 lata bez 4 dni. D'Elcano otrzymał za to herb, wyobrażający kulę ziemską z napisem: *primus circhmededistime*.

Jeśli przybycie hiszpańskiej floty ze wschodu na Moluki wielkie zdziwienie wywołało, to tém większe zdziwienie opanowało wszystkich, skoro D'Elcano wrócił do Europy. Opowiadanie jednak jego i sporządzone karty dały jednakże żegludze zupełnie inny kierunek. Zjawiło się mnóstwo awanturników, którzy wstępując w ślady Magielana rozpoczęli po Oceanie poszukiwania; tak Garcia de Loysa, Salazaz, Korteż, Pizarro, Torres. Hiszpanie rozpoczęli z Indyjanami żywy handel. Okręty ich wypłynęły z Acapulco (Akapulko) na zachodniem wybrzeżu Meksyku do Manili, zkąd natychmiast inne wypływały do Ameryki. Podróż trwała zwykle trzy miesiące. Zadziwiającą jest rzeczą, że lubo żegluga po Oceanie Spokojnym była dość ożywiona, jednakże nie odkryto wysp, których na Oceanie jest ilość niezliczona. Może być, że okręty dla zbyt długiej podróży nie ośmielały się zbaczać z drogi, aby nie zażyć głodu, a może też, że miały rozkaz trzymania się tylko pewnej linii. Twierdzą jednakże, że Hiszpanie odkryli wiele wysp, ale o nich nie wspominali, z obawy, aby inne narody nie pokusiły się o dzielenie się z nimi odkryciami.

Podróż na około ziemi przez cieśninę Magielańską nie była odtąd już nowością żadną. Jednakże nie wszy-

stkie kraje trudniące się handlem i żegluga, mogły z tej właśnie linii korzystać, jak na przykład Anglia i Holandya. Dla tego postanowiono odszukać drogę prowadzącą na Ocean Spokojny w stronie północnej. Dowiedzieliśmy się, mówiąc o podróżach podbiegunowych, że lubo udało się odkryć przejazd pomiędzy wyspami północnej Ameryki, i lubo morze nad wybrzeżami północnej Azji jest otwarte aż do cieśniny Berynga, jednakże z tego przejazdu nie da się żadnego zrobić użytku, ponieważ tutaj klimat stawiał nieprzebytą zaporę. Dla lodów i mrozów żaden okręt nie może się odważyć tędy płynąć do Indyi.

Ze wszystkich żeglarzy przyczynił się najwięcej James Cook do poznania Oceanu Spokojnego. Płynął on od wyspy do wyspy, wszystkie okrążając i położenie ich na karcie notując według reguł astronomicznych. Mało co wysp się znajduje, którychby on nie odkrył i nie zwiedził. W trzeciej swój podróży poległ z ręki wyspiarzy na wyspach Sandwich roku 1779.

W roku 1785 wysłała Francya zdatnego żeglarza La Peyrouse, który miał odbyć naukową podróż na około ziemi. Król francuzki Ludwik XVI sam wypracował plan podróży, a spodziewając się po niej pomyślnych rezultatów, doskonale zaopatrzył we wszystko dwa statki przeznaczone na drogę. La Peyrouse wypłynął cieśniną Magielańską i płynął po nad zachodnimi wybrzeżami Ameryki aż ku cieśninie Berynga, zkąd znowu płynął po nad wschodnimi wybrzeżami Azji; wreszcie udał się na wybrzeża Australii. Z Botanybai wysłał okrętem angielskim królowi swe dzienniki i zapiski oraz plan dalszej podróży. Ale to była o nim ostatnia wiadomość, gdyż odtąd wieść o okrętach i żeglarzach przepadła. Spodziewając się, że nieszcześnie się stało, a chcąc mieć pewność, wysłał rząd francuzki kilka okrętów na odszukanie śladu zaginionych, ale wszystko na próżno. Pierwszy wypłynął d'Entre-

castreaux w roku 1792, 1793, po nim Baudin 1800. Freycinet w roku 1817, a wreszcie Duperrey w roku 1822. Aczkolwiek ekspedycje te do odszukania zaginionego La Peyrouse żadnego nie odniosły skutku, jednakże zebrały nieoceniony materiał do znajomości Oceanu Spokojnego. Mianowicie d'Entrecasteaux, który wybrzeża Tasmanii (kraj van Diemen'a) dokładnie zbadał, i Baudin, który znowu sporządził dokładnie karty wybrzeży południowych i zachodnich Nowej Holandyi.

Przypadek jednakże zrzucił, że się dowiedziano co się stało z kapitanem La Peyrouse i jego załogą. Statek do połowu wielorybów przybił 1825 r. do jednej wyspy leżącej pomiędzy Nową Anglią, a Nową Kaledonią. Poławiacze okrętów zdziwili się nie mało, ujrawszy w uszach jednego z naczelników dzikich wyspiarzy order św. Ludwika, a prócz tego pałasz i niektóre monety francuskie. Na zapytanie, odpowiedziano, że te rzeczy wyrzuciło morze. Następnie kapitan Dillon 1827 roku, a później umyślnie do zbadania tej okoliczności, wysłany kapitan Dumont d'Urville lepiej sprawę tę wyjaśnili, lubo nie zupełnie. Według tego, o czém mogli się dowiedzieć, okręty zaginionego La Peyrouse rozbiły się przy wyspie Vanikro (Maldkolo) jednej z wysp Nowych Hebrydów. Pod powierzchnią morza można jeszcze było widzieć szczątki już zgniłych okrętów, a mianowicie armaty. Wyspiarze opowiadali, że jeden z okrętów rozbił się o rafy koralowe, a drugi osiadł na mieliźnie. Wielu załogi się wyratowało i wyszło na wyspę. Później zbudowali sobie wielką łódź, i ku pociesze wyspiarzy, z którymi zgodzić się nie mogli, odpłynęli. Co się z nimi stało, tego nikt nie wiedział.

Dziś Ocean Spokojny jest publicznym traktem dla okrętów przerzynających go w rozlicznych kierunkach. Podróż na około świata, która dawniej trwała trzy

lata, dziś w 4 miesiące się odbywa, a to dla tego, że okręty pędzone i parą i wiatrem biegną z wiatrem w zawody. Wszystkie zakątki, prądy, rafy, i wielizny są tak dobrze znane, jak miejscowości mórz od niepa-miętnych czasów znajomych, jak na przykład Bałtyku albo też morza Śródziemnego. Wszystkie narody Eu-ropejskie trudniące się żegluga, mają na Oceanie Spo-kojnym swe posiadłości pomiędzy wyspami. Ztąd też wszystkie narody muszą statki swe na Ocean Spokojny wysyłać. To też mianowicie powodem, że ten właśnie Ocean, lubo najdalszy od Europy, jednakże jest targo-wiskiem, na którym odbywa się nieustanny jarmark. Towarów i płodów rozmaitego rodzaju dostarczają tak głębiny Oceanu, jak i jego niezliczone wyspy.

2. Wyspy Oceanu Spokojnego.

A. Wyspy nadbrzeżne.

Gdyby kto chciał dać chociaż tylko ogólnikowy spis wszystkich wysp Oceanu Spokojnego, musiałby na-pisać olbrzymie dzieło stutomowe, a jeszczeby tylko najgłówniejsze mógł wybierać momenta. W naszej pra-cy ledwo tylko najgłówniejsze wyspy pobieżnie potrącić nam będzie wolno, aby zanadto obszerności niniejszego dziełka nie rozpostrzeniać. Opłyniemy znowu myślą wybrzeża i wspomnimy coś tu i owdzie, co będzie naj-godniejszym uwagi. Za punkt wyjścia obieramy Przy-lądek Rogowy, to jest południowy cypel Ameryki.

Od Przylądka Rogowego ciągnie się ku północy, aż do 41^o szer. połudn., tuż nad wybrzeżem zachod-niem Ameryki, pasmo wysp, nagich, niezamieszkałych, będących szczególnie siedliskiem niezliczonych gromad ptaków morskich, które tutaj składają swą mierzwę, tworząc ogromne pokłady guano. Ostatnia ku północy pod 41^o szer. połud. jest Chiloe; wyspa ta jest naj-większą i zamieszkałą, z miasteczkiem St. Carlos.

Od téj wyspy począwszy wybrzeże amerykańskie po nad granicami Chili jest zupełnie z wysp огоłocone. Zdala tylko od lądu leży najprzód *Mas-a-Fuero*, mająca brzegi skaliste i pełne raf. Morze zaś tutaj jest pełne rekinów, ztąd bardzo jest niebezpieczne na przypadek rozbicia się okrętu. Przy odkryciu jéj znaleziono na niéj pełno kóz, których mięso było bardzo smaczne. Prócz tego morze obfituje w ryby i cieleta morskie.

Juan Fernandez, wysepki leżące bliżéj lądu, są podobne do poprzedzającej. Odkrył je 1563 hiszpański żeglarz *Juan Fernandez*. Tutaj roku 1704 wysadzono na pustą wyspę majtka nazwiskiem *Alexander Selkirk*, który długo samotne życie musiał pędzić i starać się o utrzymanie życia. Nie jest to zaś tak łatwo dla człowieka przyzwyczajonego do pożycia towarzyskiego. Ztąd téż ów *Selkirk* musiał walczyć z trudnościami niesłychanemi. Zwyciężył je jednakże i po wielu, wielu latach dostał się znowu w towarzystwo ludzkie. Przygody tegoż *Selkirka* dały angielskiemu pisarzowi *Defoe* pocho*p* do napisania książki pod tytułem *Robinson Kruzoe*, którą każdy z chęcią czytał i czyta. Dla ludu i młodzieży wybornie obrobił powyższe dzieło *Wł. Anczyz*, zasłużony pisarz ludowy niedawno zmarły. — *Selkirk* założył plantacye, a później pewien Amerykanin, sprowadziwszy 50 familii z wysp *Sandwichskich*, zaludnił wyspę i nie dał upaść plantacyom pierwotnym. Jeszcze do dziś pokazują jaskinią, w której miał ów *Robinson Kruzoe*, raczéj *Selkirk*, przebywać.

Naprzeciw peruwiańskiemu miastu *Pisco* leżą trzy wysepki, sterczące z morza niby trzy igły. Są to sławne wyspy *Chincha*. Sława ich pochodzi ztąd, że cały prawie świat zaopatrują w... mierzwę, lubo na nich nie ma ani miast, ani wsi, chyba kilka baraków robotników, tamże około dobywania mierzwy zajętych. Owa mierzwa, to sławne *guano*. Z trzech wysepek

leżących od siebie $\frac{1}{4}$ i $\frac{1}{2}$ mili geograficznej, najwięcej na północ wysunięta całkiem już z guano odarta, południowa, jeszcze wcale nie tknięta, a obecnie kopią na średniej, której powierzchnia miejscami zakryta jest pokładem guana 105 stóp grubym.

Cóż to jest guano? — nic więcej. jak mierzwa ptaków morskich, jako to: pelikanów, flamingów, pingwinów, nurów, mew i innych, które się na skalistych, niezamieszkałych wyspach nad wybrzeżami Ameryki zachodniej, aż niedługo pod równik gnieźdzą. Tu tedy długie wieki składana mierzwa, oraz resztek ciał zwierzęcych, ryb znoszonych do gniazd na pokarm pisklętom i pomarłych ptaków, uzbierało się z czasem w grubych pokładach dzisiejsze guano. Wszystkie wyspy wspomniane zawierają guano, ale najlepsze jest ono na Chincha, ponieważ tutaj nigdy deszcz nie pada. Wiadomą jest rzeczą, że deszcz psuje każdą mierzwę, albowiem z niej salmiak i inne części składowe uprowadza. Zatem chociaż na innych wyspach znajduje się guano, jednakże w porównaniu do tego żadnej nie ma wartości, a przynajmniej mało co znaczy. Guano na Chinchach powstałe z ekskrementów i ciał zwierzęcych zawiera w sobie mnóstwo węgla, jako też i części alkalicznych, które są głównym warunkiem rozwoju roślinności. Podczas gdy na innych wyspach deszcze części te składowe niszczą, na Chinchach pod skwarem równikowym składana mierzwa może się zupełnie rozkładać, nie tracąc żadnego pierwiastku.

Przypatrzmy się bliżej wyspom. Z natury są one poszarpane i pełne rozpadlin, jednakże ptastwo wypełniło je tak dokładnie swemi odchodami, że wyspy, niby trzy regularne głowy cukru wystają z morza. Ztąd też kopiąc guano natrafia się na rozmaitej głębokości pokłady; w jednym miejscu ledwo są grube na stopę, a w innym, jak już powiedzieliśmy, na 105 stóp. Obliczono, że na wszystkich trzech wyspach znajduje się guana 200 milionów beczek (po 20 centnarów.) Płacąc

zaś za beczkę po 30 talarów, wypadnie kapitału ukrytego w mierzwie bajeczna summa: dziesięć tysięcy milionów talarów. Wyczerpać zaś można będzie ów skład dopiero w 100 latach, jeśli wywóz będzie taki jak teraz.

Wstąpmy na jedną z tych wysepek.

Skoro się tylko wyjdzie na ląd, czyli na mały skrawek ziemi wolnej od guana, natenczas chmura ptactwa z krzykiem, kwikiem, wrzawą, piskiem i kwakiem unosi się w górę i krąży nad głowami tych, którzy nachodzą ich spokojne siedlisko. Chmury te skrzydlatych mieszkańców są tylko drobną garstką w porównaniu do liczby ptactwa pierwotnie tu przebywającego, nim je ludzie zakładaniem kopalni wypłoszyli. Ale i teraz jeszcze gromady owe są znaczne. Chmura pelikanów buja wysoko w górze, a co chwilę jeden z ptaków spada na wodę niby kula i chwytą upatrzoną rybę, którą chowa do swjej torby. Niżej uwija się niezliczona liczba najrozmaitszych ptaków, jako to mew, nurów i innych, ledwo z nazwiska znanych. Na pojedynczych wystających skałach siedzi pingwin, to jest tłusciuch, ów najgłówniejszy fabrykant guana. Ptak ten dostał dziwną nazwę od majtków, mówią bowiem na niego: *pastor*. Nazwano go zaś tém mianem, ponieważ cały jest czarny, a pod szyją biały, co ma mieć podobieństwo do pastora ubranego w czarny habit i pod szyją mającego białą krawatę. Przytém cała jego postawa jest bardzo poważna. Nogi ma w tył tak daleko wysunięte, że musi jak chłop jaki prosto chodzić, a ztąd chodzenie jest dla niego trudnością. Że nie może bujać w powietrzu, ani téż przechadzki używać, a radby jednak widział co się w oddali dzieje, przeto obiera sobie wywyższone miejsca i ztąd po kilka godzin wpatruje się z powagą w okolicę. Zdaje się na skale, jak majtkowie mówią *na a m b o n i e*, tak być zamyślnym, że będzie go można schwytać rękami. Ale niechno się kóź zbliży do skały, i niechno kto rękę ściągnie

aby go pochwycić, pingwin natychmiast rzuca się w morze, daje nurka i dopiero o kilkaset kroków wypływa na powierzchnię.

Kilka kroków dalej od skrawku piaszczystego, zalewanego morzem, wstępuje się już na guano i zapada po kolana. Leży ono w pokładach regularnych, jak torf; dolne pokłady ciśnione górnemi, są więcéj ubite, górne pulchniejsze; im głębiej, tém kolor guana jest czerwieńszy, aż w pewnej głębokości staje się ciemno czerwonym, — im zaś wyżej, tém jaśniejszy. Na powierzchni ma guano skorupę brunatno-białawą, niby niezupelnie zaschła glina. Wszystko guano bowiem jest tylko kupą mierzwy ptasiéj; słońce, piekąc z góry, trworzy na niém skorupę twardą, zdolną utrzymać na sobie ciężar ptaka z gniazdami. Ale taka skorupa nie wytrzyma ciężaru człowieka, który zarywa się i zapada po kolana lub głębiej, aż noga jego oprze się na więcéj ubitym pokładzie. Ów spodni pokład jednakże nie jest twardym, kamienistym, ale mniej więcéj sproszkowanym. Dopiero na samym spodzie bardzo grubego pokładu znajduje się guano twarde jak skała, dające się tylko siekierami i oskardami odłupywać, niby odłamy kamienne.

Na miejscu ogołoconém z guana leży jedyne jedno sioło, a jak je na miejscu żartobliwie nazywają, stolica. Jest to około 30 szałasów nędznych, zbudowanych ze żaglowego płótna, albo téż mat zrobionych z trawy i przywiązanych do czterech palów. Lepszą już chatę posiada dwóch majtków, którzy się tutaj osiedlili jako piloci. Komendant sam całej wyspy mieszka w chacie, w której potłuczona szyba okrętowa służy za okno. Jak chaty robotników są nędzne, tak téż ich sprzęty, których zbyt nauto nie posiadają; kilka potłuczonych a brudnych garnków, kilka ławek najprostszej roboty — oto całe umeblowanie chat i szałasów. Pościeli w tak gorącym klimacie nie potrzebują, gdyż mata z trawy im wystarcza. Jak proste ich sprzęty, tak i prosty ich ubiór. Nie można mówić, aby chodzili całkiem nago, gdyż nawet

Indyanie przepasani są około bioder, ale też nie można znów mówić, aby się ubierali w całym tego słowa znaczeniu. Na czas spokojny mają za cały strój spodnie sto razy rozdierane i sto razy łatanie, a w czasie wiatru — który rzadko powstaje — mają płaszcz nieustępujący w niczem spodniom. Brud i śmiecie — nieczystość aż do obrzydzenia — oto znamiona tak baraków jak i ludzi. Ale zkadże też możnaby tu wymagać czystości, gdzie wszystko gnojem zwalane i gnojem przesiąknięte, począwszy od ubioru robotników, aż do kawałka chleba, który kładą w usta — a woda, to czysta gnojówka, chociaż ją poczęści przywożą ze stałego lądu.

Dla straszliwego gorąca można tylko pracować w nocy, a we dnie robotnicy śpią, siedzą w swych szalasach i palą fajki. Praca przy guanie jest nader uciążliwą i dla nieznośnego odoru bardzo przykłą i odrażającą. Guano w prószu napełnia powietrze, i tak jest delikatne, że wnika i do najszczelniej zamkniętych pudełek, niby miazgi piasek na Saharze. Napełniają się nim nos, usta, oczy — gardło się zasypuje, tak że trzeba co chwilę wodą płókać. Wiadoma, że ptasi gnój, mianowicie stary, straszliwie ma zapach tęgi; — owóz wyspy Chinchu nie są niczem więcej, jak trzema ogromnemi kupami ptasiego gnoju, w którym ludzie żyć, spać, jeść i pracować muszą. Indyanie i Chińczycy, których i tu nie braknie, mieszkają nawet w budach li tylko ze samego guana ulepionych. Pomimo bardzo przykrego smrodu nie można jednakże powiedzieć, aby pobyt tamże miał być niezdrowym — owszem ludzie tam zatrudnieni wyglądają zdrowo i gdyby nie za trudna praca, nie mieliby powodu do narzekania. Oczywiście potrzeba jednakże silnych płuc i nerwów. Zresztą człowiek się do wszystkiego może przyzwyczaić.

Dobywanie guana odbywa się na sposób górniczy i nie przedstawia żadnych trudności.

Ładowanie okrętów byłoby trudniejsze, aniżeli dobywanie, gdyby sama natura nie była ułatwiła tej pra-

cy. Gdyby tak około wysp znajdowały się mielizny, gdzie czasami okręt musi o milę stanąć od lądu, a większe czołna nawet nie mogą dobić do samego lądu, natenczas ładowanie byłoby rzeczywiście utrudnioném. Ale wyspy Chinchas są bardzo strome; okręt podpływa pod skałę sterczącą prostopadłe z niezmierzonej głębi i stawa pod rusztowaniem z belek i blochów na skale. Na owém rusztowaniu jest urządzenie podobne do urządzeń na wielkich młynach, gdzie z drugiego piętra mąka rurami spada prosto w podstawione miechy na dolném piętrze. Różnica ta, że owa rura na rusztowaniu na skale jest olbrzymi 60 do 80 stóp długi miech — oczywiście bez dna — ze skóry, a guano wrzucone u góry, wysypuje się prosto na dno okrętu, dokąd ten miech dochodzi. Guano tedy takie, jakie kopią, sypią na taczki, i inni robotnicy, niby u na smarglarze, toczą na rusztowanie, tutaj taczki przewróciwszy w otwór miecha, wysypują guano i z próżnemi taczkami wracają napowrót, aby je znowu napełnić. Na ten sposób w trzy dni okręt się napełnia.

Zdawałoby się, że praca tu nie jest nadto uciążliwa i ludzie tutaj przy dość znacznej płacy mogliby żyć wesoło. Jakie jest życie tych ludzi, opisuje nam dr. Gravenhorst. „Już zmierzchało się, gdyśmy przyszedli na miejsce, gdzie kopano i żelaznemi oskardami wyrębywano guano. Zastaliśmy około 50ciu Chińczyków męczonych tą robotą. Jedni rąbali owe śmierdzące pokłady, drudzy ładowali je na taczki i zwozili na tuż stojący wielki wóz. Nad nimi stał krępy jak dąb murzyn i wysoki jak dąb Hiszpan, z twarzą silnie ogorzałą i iskrzącymi się z pod cienistych brwi oczyma, zupełnie podobny do herszta rozbójników. Jeden i drugi trzymał zwieszzone z małego palca prawej ręki godło swojej władzy... to jest bicz pleciony ze surowej byczej skóry, który często spadał na plecy to tego to owego robotnika. Kiedy wóz był pełnym aż do wierzchu, murzyn popędził i głosem i biczem dwoje zaprzężonych do niego bydląt

w postaci ludzkiej — i te puściły się kłusem ze swoim ciężarem rozpościerającym w około duszącą smrodem kurzawę, zaciągnęły go na skałę, a przewróciwszy, wyrzuciły wszystko na stojący pod skałą okręt; poczem wrócili przechodząc około nas, jedni spokojnie i w milczeniu, drudzy szczerząc zęby i pokazując język, inni wyprawiając różne skoki. Prawdziwy strach mnie ogarnął, kiedy nasz przewodnik, wskazując mi na jednego przewracającego takie kozły, rzekł: — „Widzisz pan tego niecnotę? Czy dasz pan temu wiarę, że nie dalej jak wczoraj rano dostał on trzydzieści takich batów, jakie pan widzisz, które przecinają skórę, i po których trzeba koniecznie zmywać rany słoną wodą, bo one zaraz gniją od gorąca!“ —

Zatém, lubo sama robota jest uciążliwą i odrażającą, nieludzkie obchodzenie się dozorców z nieszczęśliwemi jest jeszcze okropniejsze.

Praca na okręcie o wiele jest przy ładowaniu guana uciążliwszą, aniżeli przy kopalniach. Tutaj we wnętrzu i na pokładzie taki panuje smród, że nieprzyzwyczajony wpada w omdlenie. Przy spuszczeniu z rusztowania guano wzbija się chmurą delikatnej kurzawy śmierdzącej, która Indyanom odbieraniem zatrudnionym wyciska łzy z oczu i zmusza do nieustannego kichania, chociaż Indianie nos i usta zabezpieczają przed ową kurzawą szczelnie obwiązaniem pakułami smołą pomaczanemi. — Podobno słyszano nawet, że szczury na okręcie kichały od téj kurzawy! — Robota pod pokładem przechodzi prawie pojęcie. Indianie tam się znajdujący mają obowiązek, aby zesypywane na spód guano rozgarniać i udeptywać nogami. Że ich praca jest bardzo przykrą, to można z tego już poznać, że żaden nie wytrzyma nad 20 minut i o tym czasie zmieniają się robotnicy. Skoro Indianin wyjdzie na pokład, natenczas wygląda jak straszdyło, okryty skorupą brunatną z kruszącego się guana; pierwszym jego zatrudnieniem jest: połknąć kwartę zimnej

wody, następnie palnie kielich gorzałki i rzuca się w ką, dopóki nie przyjdzie znowu na niego kolój.

Skoro okręt naładowany — co zwykle w trzy dni następuje, — zdąża najprzód do Kalao, portu peruwiańskiego, tam się obmywa z brudu, a potem odpływa do Europy. Obecnie około 1000 okrętów rocznie wywożą guana. Często okręty po sto dni czekać muszą, nim przyjdzie na nie kolój odbierania ładunku. Ponieważ mnóstwo zawsze okrętów, czasem 170, musi oczekiwać kolei, dla tego na wyspie północnej, obecnie już z guana obranej, urządzono hotel, mający zarazem teatr i salę koncertową. przez co załogi okrętowe mogą wygodnie nudny dla nich czas zabić.

Ptastwo tymczasem ani wrzaskiem przy kopalniach, ani gwarem hotelowym nie da się odstraszyć, ale chodzi na wyspy i budując nowe gniazda nowe składa pokłady guana. Zupełne tu zachodzi podobieństwo do gospodarza czyszczącego gołębnik: gołębie na czas czyszczenia wylatują, okrążają niespokojnie swoje mieszkanie, a kiedy człowiek się oddali, siadają napowrót, naprawiają, co im się popsło i zapominają o zaskłój zmianie. Jest to wielkiem szczęściem dla wysp Chincha, gdyż z tego powodu jest nadzieja, że guana nigdy nie zabraknie. Zresztą jest go po całym świecie dosyć. Od Chincha aż do przylądku Rogowego wszystkie wyspy są niém zavalone; na Atlantyku również wielkie skaliste szczyty mają guano. Głównie wybrzeża morza Czerwonego i Perskiego pełne są guana.

Na Oceanie Spokojnym dalej znajdują się na samym środku również znaczne pokłady guana, mianowicie na grupie wysp zwanych Fenixami! Ztąd już w jednym tylko w roku 1859tym wywieziono 20,000 beczek guana do Ameryki. Nieszczęściem, te wyspy wystawione są na wielkie ulewy deszczowe. Nagie skały mórz lodowatych są tylko wielkimi kupami guana.

Najlepsze jednakże jest peruwiańskie, ponieważ Chincha nie znają deszczu. Tam od potopu inna kropla

wody nie upadła, chyba tylko ta, którą człowiek wylał z naczynia.

Pod samym równikiem niedaleko od stałego lądu Ameryki leżą wyspy Galapagos, czyli wyspy żółwie. Mieszkańcami owych wysp są głównie żółwie, ztąd też i nazwisko całej grupy wysp. Znajdują się tu żółwie 200 funtów wazące. Poławiacze wielorybów stawają tutaj i łowią żółwie, których mięso jedzą, a wodę którą znajdują w pęcherzu żółwi, piją ze smakiem. W naszych czasach wysłano z Quito kolonią na wyspy żółwie. Jednakże osiedlenie się tutaj nie jest wcale przyjemne, ponieważ na wyspach owych jest mało co roślin, a zwierząt, prócz żółwi, prawie wcale nie ma. Najwięcej dokucza brak słodkiej wody, a wybuchy czynnych wulkanów zagrażają ustawicznie zniszczeniem. Ztąd też wysłano najprzód złożoną kolonią ze skazańców, to jest z takich, którzy za karę musieli się tam osiedlić, ponieważ nikt dobrowolnie nie miał do tego ochoty.

Na samym północnym krańcu tworzy grupa wysp niejako most łańcuchowy pomiędzy Ameryką a Azją, odcinając kocioł wody, zwaną morzem Berynga, które jest połączone cieśniną Berynga z morzem Łodowatym północnym. Są to Aleuty, zwane także wyspami Katarzyny. Archipelag całą liczy się jeszcze do Azji, lubo dotyka zachodnimi wyspami Ameryki. Pojedyncze grupy mają różne nazwy, na przykład wyspy lisie, szczurze, koprowe i inne. Odkrył je Beryng 1741 roku. Żeglarze bardzo ich się obawiają, albowiem morze wre tutaj i kipi, powiewaź wybrzeża skaliste i strome zmuszają fale do rozbijania się i łamania o głazy. Cały archipelag strasznie wygląda, ponieważ częste trzęsienia ziemi porozrywały i szczelinami wyspy te pobródzowały. Trzydzieści dwa czynne wulkany jeszcze goreją, a roku 1796 wyszedł z morza nowy wulkan, zwany przez Rosyan Bożą głową; i do dziś dymi i bucha płomieniami i wyrzuca ze siebie kupy kamieni i popiołu, że morze na około stało się o wiele mielszém; Cook mógł jeszcze

przepłynąć tutaj pełnemi żegłami, a teraz większe statki już tędy przy pływać nie mogą.

Jeżeli porównamy ilość mieszkańców na wyspach przed ich odkryciem, z ilością ludzi dzisiaj na nich mieszkających, to zaiste ze smutkiem zrobimy to spostrzeżenie, że cywilizacya europejska niby cholera przerzedziła ludność każdej pojedynczej wyspy. Oświaty dać im nie umiano, ale zaszczepiono pomiędzy nimi pijaństwo i ospę. Na Aleutach za czasów Cooka żyło 100,000 mieszkańców, dziś dzięki ospie i wódce ledwo tam żyje 6000. Kupcy, którzy z Aleutami prowadzą handel, płacą poczęści tylko gorzałką, za którą to truciznę nieszczęśliwi Azyaci oddają owoc swego mozolnego polowania. Podobno owi wyspiarze są o wiele więcej uzdolnieni aniżeli Indyanie amerykańscy, albowiem tak ich łodzie, jako też ich łuki i strzały są zgrabniejsze aniżeli indyjskie. Głównym ich zatrudnieniem jest połów fok i wyder morskich, których tu jest mnóstwo. Skórę tych zwierząt sprzedają, a mięso jedzą. Z kości zaś robią ozdoby, które sobie przez uszy, nos i usta przeciągają. Skóry które w handlu nie mają znaczenia, jak na przykład lwów morskich, służą im do budowania sobie domów. Wprawdzie mieszkania ich są to poczęści jurty podziemne, ale w latowej porze budują także i szałas; zresztą skóry potrzebne i w jurtach.

Podziwienią godną, że tu w tych stronach, gdzie zimy są długie i bardzo ostre, roślinność morska jest bardzo znaczna. Tutaj łodygi morskoczyzn olbrzymich w przeciągu tylko jednego krótkiego lata wyrastają na 300 stóp długości. Rybacy zrzucają owe łodygi, grube tylko jak szpagat, i używają ich na sznury do wędy. Na końcu łodygi znajduje się niby pęcherz 6 do 8 stóp długi wypełniony powietrzem; na tym pęcherzu znajduje się korona z liści rozkładających się na powierzchni wody, a dorastających do 40 stóp długości. Tu na tych właśnie liściach wydry lubią spoczywać,

albowiem położywszy się na taki liść, ciężarem swoim wduszają pewną część we wodę, ale całego zanurzyć jednak nie mogą; ztąd zakryte pod okiem strzelca, jednak znajdują się w suszy i na słońcu wygodnie wczasu używają.

Wzdłuż wybrzeży Azyi ciągnie się z północy na południe pasmo wysp, noszących nazwisko Kuryllów, będące tylko dalszym ciągiem wulkanicznego pasma Aleutów. To, co się powiedziało o pierwszych, można powiedzieć i o Kuryllach, z wyjątkiem że Kurylle, leżące w cieplejszym klimacie, mają także silniejszą Faunę i Florę*). Jednakże tutaj, lubo w cieplejszym klimacie, mniej mieszka ludzi aniżeli na Aleutach, gdyż Kurylle składają się z 30 wysepek, zawierających razem 145 mil kwadratowych, a żyje na nich ledwo 1000 dusz. Północne wyspy są zamieszkałe przez Kamczadałów, a południowe przez Alinosów, szczep należący do Malajskiej rasy. Północna część należy do Rosyi, a południowa do Japonii.

Japonia, czyli cesarstwo Japońskie, składa się ze czterech większych i mnóstwa mniejszych wysp. Największe wyspy są Jesso, Nipon, Sikok i Kiusiu. Stołecznem miastem jest Jeddo na Nipon, liczące przeszło 2 miliony mieszkańców. Na téj wyspie znajdują się góry 14,000 stóp wysokie.

O Japonii tyle piszą i tyle jest książek, że uważamy za zbyteczną szérzyć się o tym cesarstwie rozpisywać, odsyłając czytelnika łaskawego do obszérniejszych dzieł w téj materyi traktujących, gdyż obszérny opis nie miałby miejsca w naszym dziele, a potrącenie tego i owego nie dałoby jednakże wyobrażenia o całości. Największą wyspą, a raczej zbiorowiskiem wysp przyjętém za część świata jest Australia. Najpóźniej została ona odkrytą i różni się pod każdym względem od innych części świata. Jest ona zbiorowiskiem niezliczo-

*) Fauna — świat zwierzęcy; Flora — świat roślinny.

nych wysp, większych i mniejszych, wulkanicznych i koralowych. Ów archipelag zowią też Polinezją, albo Oceanią. Ze wszystkich wysp największą jest Nowa Hollandya, czyli Australia. Reszta wysp tworzy bądź to grupy składające się z mnóstwa wysepek, albo też stoi jako pojedyncze ostrokręgi skaliste sterczące z morza. Niepodobna nam tu ani tyśiącznej części tych wysp omówić, wspomnimy tylko, że pomiędzy innymi są grupy wysp: Maryańskich albo złoczyńców, Karolińskich, Fidżi, Towarzyskich, Sandwichskich, dalej: Nowe Hebrydy, Nowa Kaledonia, Nowa Zelandya, Orkneyj i tam dalej.

Zwykle jednakże rozróżnia się Australia, obejmującą Nową Hollandyą i Nową Gwineą i Nową Zelandyą, dla tego, że Anglicy, objawszy te ziemie w posiadłość, tak je zawsze nazywają, a resztę wysp nie należących ani do Azji, ani do Ameryki nazywają Polinezją albo Oceanią, niejako niby nową częścią świata. Nieby to zresztą nie było dziwnego, gdybyśmy Oceanią uważali za nową część ziemi, gdyż ma ona całkiem odrębny swój charakter i inny szczep ludzi. Australią zamieszkują dżicy Murzyni australscy, a Oceanią ludzie rasy Malajskiej, zdolniejszej dla przyjęcia cywilizacyi.

Pomówimy o obydwóch częściach z osobna.

A. Australia. Ocean Spokojny z północy wymeł wielką zatokę Carpentaria, a na południe cieśnina Bassa oddziela ląd stały od kraju Van Diemena, zwanego także od odkrywcy Tasmana, Tasmanią. Zachodnią stroną wciska się jeszcze w Ocean Indyjski, ale zachodnio południowa leży w Oceanie Spokojnym. Na wschodzie przedstawia morze widok, jakiego nigdzie na całej kuli ziemskiej natrafić nie można. Wzdłuż całego wybrzeża na 300 mil długości, ciągnie się pasmo raf koralowych tak gęsto przy sobie będących i tak ich wiele, że tworzy niejako tamę pomiędzy lądem a Oceanem.

Pasma to zowią rafową baryerą. Pomiedzy ową baryerą a lądem znajduje się szeroki kanał zupełnie spokojnej wody, podczas kiedy na wschodniej stronie ryk fal łamiących się o skały i szum prądów pomiędzy pojedynczemi rafami, tworzącemi małe wązkie kanały, przerażają każdego zeglarsza, grożą zagładą każdemu okrętowi. Całe morze na stronie wschodniej pokryte jest koralowemi rafami. Korale tutaj właśnie znajdują odpowiednie warunki swego bytu i tu się też rozmnożyły niesłychanie, tworząc wyspy tamujące drogę, a ukryte pod wodą, czekają niby drapieżny potwór na niebaczne statki, które nie znając okolicy o nie uderzają.

Na całej kuli ziemskiej nie ma nic podobnego. Część morza tak wielka jak Bawarya, jest literalnie pokrytą skałami, głazami, a mianowicie rafami koralowemi; stąd też nazwano tę część i okolice morze za Koralowém. Kanały przerzynają się pomiędzy rafami są ustawicznie pokryte białą pianą, a raczej skały są pianą pokryte i z tego tylko wnosić można o ich istnieniu, gdyż wyglądają podobne do gór śnieżnych. Tymczasem jądro w środku jest skaliste. Nie tylko same skały zagrażają żeglarzowi, ale i mielizny pełne śpiczastych, skalistych wierzchołków; woda na takiej mielźnie jest najspokojniejsza — ale to grób pobielan! Tam znowu tuż pod powierzchnią znajdują się ławice koralowe; nic nie zdradza ich bytu, głębia na około zawsze równa, a naraz okręt uderza i przebija się na wylot. I to jeszcze nie najniebezpieczniejsza, gdyż można za pomocą dobrych kart morskich uniknąć skał zagrażających; gorszem są prądy bardzo bystre, które okręt chwytają i rzucają na skały. Dopóki wiatr okrętowi sprzyja, dopóty żeglarz nie obawia się ani skał, ani prądu. Ale właśnie tutaj w tych stronach zmieniają się wiatry i cisze czasem nagle. Biada okrętowi, jeśli go cisza napadnie, gdyż prądy go pochwycają i rzucają o pierwszą lepszą skałę.

Kiedy Cook opływał Australią po raz pierwszy

po jęj wschodniej stronie, właśnie coś podobnego go spotkało. Przypłynął on z południa, a zatem nie wiedział o Koralowém morzu. Że jednak na okręcie ustawicznie warta i strażę dają baczenie, aby nagle nie wpłynąć na jaką skałę, przeto podróż odbywała się szczęśliwie. Cook zaczął uważać, że im dalej płynie ku północy, tém skały się więcej mnożą i niebezpieczeństwo wzrasta. Z obawy, aby pomimo największej ostrożności, w nocy nie uderzyć na skały, zwrócił Cook okręt daleko od lądu na morze. Wieczór się zbliżył. Powietrze sprzyjało, a silny podmuch wiatru wydymał żagle. Wreszcie nadeszła noc, ale widna jak dzień, ponieważ księżyc prześlicznie świecił. Ujrzano wielką rafę koralową i przepłynięto tuż przy niej. Naraz dostali się na mieliznę; ołowianka zaczęła szybko wskazywać 12, 10, a nawet 8 sążni głębokości. Cook zawołał całą załogę na pokład i kazał szybko zarzucić kotwicę; nim to jednakże zdołano uskutecznić, już znowu znaleziono głębokość 21 sążni. Sądził więc Cook, że minęli mieliznę, a że głębokość pozostawała i nadal ta sama, przeto wszyscy sądzili, iż niebezpieczeństwo minęło, i załoga się rozeszła. Pogoda sprzyjała, morze było naokoło stósownie głębokie, ztąd nie zakłócało spokoju załogi okrętowej, gdy wtém nagle o 10tej godzinie, nim zdołano ołowiankę wyrzucić, okręt uderzył na podobną skałę, zadrżał i osiadł na miejscu.

Któż opisze przerażenie załogi! Któż pojmie przestrach, jaki wszystkich opanował! Sam tylko Cook, lubo przerażony jak wszyscy, nie stracił przytomności umysłu, wiedział bowiem, że ratunek załogi polega jedynie na spokojném obmyśleniu środków spłynienia okrętu ze skały. Kazał tedy natychmiast zwinąć żagle i spuścić łodzie celem zgłębnienia dna morza. Pokazało się teraz, że okręt wpadł na rafę koralową i leży w jęj zgłębnieniu. Morze na jednej stronie było ledwo kilka stóp, na drugiej dwa, lub trzy sążnie

głębokie. Tymczasem każdy bałwan groził zniszczeniem; fale unosiły okręt w górę i opuszczały go ciężko na skałę, grożąc zupełnem roztrzaskaniem. Skutki uderzeń okazały się niezadługo. Najprzód okazały się bowiem na powierzchni wody wiory, a następnie całe deski z dna okrętowego, a wreszcie wielka część kilu się odsłoniła. Nie było czasu do stracenia — wszystko co się dało zrzucano w morze, a nawet armaty, słodką wodą, żywność i zapasy wszelkiego rodzaju, aby ulżyć okrętowi. Pierwszy przypływ nie zdołał okrętu spławić. Tymczasem woda gwałtownie lała się do wnętrza, ztąd też nie robiła sobie osada wielkiej nadziei i z tego nawet, aby przypadkiem okręt spłynął, gdyż powinien zatonać, nim mogliby się dostać do lądu. Przyszedł teraz drugi przypływ i rzeczywiście okręt spławił, ale woda zaczęła się zaraz gwałtowniej lać do wnętrza, tak że pompami już nie można było dać rady napływowi. Wtedy jeden ze starych żeglarzy doradził, ażeby pod dno przeciągnąć zagiel okrytą grubą warstwą wełny i mierzwy. To istotnie pomogło; woda już się w okręcie nie podnosiła wyżej, a tymczasem śpiesznie uciekano do lądu. Na szczęście znalaziono niedaleko wygodną przystań. Tutaj zajęto się naprawą statku. Kiedy go przewrócono, okazało się, że ramieniu koralowemu, które przebiło okręt, winni byli zarazem i ocalenie, gdyż kawał ów się ukruszył i zatkał zrobioną dziurę. Gdyby nie to, zapewne nic nie byłoby pomogło, i okręt byłby zatonął.

Skoro statek naprawiono, Cook popłynął po nad lądem dalej ku północy.

Teraz też po pierwszy raz zobaczył tak oślawione morze koralowe, jako też i baryerę. Przez całe trzy miesiące nie mógł się wydobyć z pomiędzy skał i raf, któremi to morze zasiane, ani w baryerze nie mógł odkryć przejścia, którémby się mógł wydobyć na otwarty ocean. Okręt co chwilę musiał zarzucać kotwicę, a łódź z ołowianką bezustannie wskazywała

okrętowi drogę, który ani o krok naprzód się nie ruszył, jeśli miejscowość nie została poprzednio dokładnie zbadaną.

W okolicy gdzie leży wyspa Eagle-Island zdawało się Cookowi, że widzi otwór w baryerze. Wyślana łódź wróciła ze zapewnieniem, że rzeczywiście znajduje się przejazd, ale morze w tém miejscu wre, kotłuje się i pieni. Jednakże trzeba się było na przebycie téj cieśniny odważyć. Można ją było zdaleka rozpoznać jako czarną przerwę w długim pasie białej piany. Śmiało tedy skierowano okręt i lubo z niebezpieczeństwem, przerznięto się przez zdradliwy kanał. Po za baryerą woda miała najprzód 150 sążni głębokości, a cokolwiek dalej już ołowianką dna dosięgnąć nie było można. Ze wschodu długie, regularnie nadciągające fale, oraz jednostajna głębokość potwierdziła wszystkich nadzieję, że się znajdują na pełnym oceanie.

Tak Cook jak i oficerowie i załoga, wszyscy odczuli, skoro ujrzeli po za sobą już straszliwe wrzenie i łamanie się wody o skały. Teraz od trzech miesięcy po raz pierwszy mogli się ośmielić rozwinąć żagle, a widok wydętych płacht żaglowych napełnił wszystkich niewypowiedzianą radością. Oficerowie winszowali sobie wzajemnie, a majtkowie wznosili z tej okazji wesole okrzyki. Tymczasem radość ich była przedwczesną; po kilku godzinach wiatr zaczął słabnąć. wreszcie całkiem ustał, a żagle opadły na rejach. Co najgorsza, to iż można było zauważyć, że bałwany unosiły okręt napowrót do baryery. Spuszczono ołowiankę, ale gruntu dosięgnąć nie podobna i kotwicy zarzucić nie było można; nadszedł wieczór, a jeszcze dna nie znaleziono. Całą noc napróżno wzdychano za powiewem wiatru, a tymczasem szum wody i ryk wrzenia dawał się coraz mocniej słyszeć, aż rano znaleźli się tuż obok straszliwych odmetów łamiących się o skały i ciskających pianę pod niebiosą.

Położenie było bardzo groźne. Jeżeli wiatr nie zawieje, zguba statku będzie nieuchronną. Niebo jednakże czyste jak szafir niedozwalało nawet bawić się i promykiem nadziei, że wiatr się podniesie; a tak chyba cud tylko mógłby jeszcze nieszczęśliwych ocalić. Nie wiedząc innéj rady, spuszczone łodzie i starano się linami odciągnąć okręt od najbliższej skały. Czego się wcale nie spodziewano, to się stało — okręt, lubo się zwolna zbliżał do skał, jednakże tylko w bardzo ukośnej linii. Tymczasem w baryerze odkryto otwór. Promyk nadziei ożywił żeglarzy. Starano się aby okręt zaciągnąć w ów otwór, ale wyteżenia ich prawie nadludzkie na nic się nie zdały i tak łodzie jak i okręt zdążyły w inną stronę. Niedługo ujrano drugi otwór w kierunku prądu. Wysłano łódź; ten który się znajdował w łodzi dał znak, że otwór jest bezpieczny. Puszczono tedy okręt, który chwytny prądem, niby błyskawica przebiegł pomiędzy dwiema skałami, otarszy się prawie o jéj brzegi. Po kilku minutach straszliwej jazdy okręt stanął na wygładzonej powierzchni za baryerą. Po chwili zabrzękły łańcuchy, kotwica zagrzezła w dnie morskiem, a załoga spojrzała po sobie, dziwiąc się jakim sposobem ocalała. Cook nazwał owę cieśninę *Providential Chanel*, to znaczy: Kanał Opatrzności.

Odtąd Cook już nie opuszczał wybrzeży stałego lądu i pierwszy płynął owym kanałem pomiędzy baryerą a stałym lądem.

Australią odkrywano długi czas i wszystkie żeglujące narody przypisują sobie pierwszeństwo. Wszyscy téż w jéj odkryciu mieli udział. Główna sława jednak należy się Cookowi, lubo i Tasman, Bass i inni mają niepoślednie zasługi. Południowe części są przez Europejczyków zamieszkałe. Znajdują się tam znaczne miasta, jako to: Sydney, Melbourne, Adelajda, które w niczém nie ustępują miastom europejskim.

Północna zaś strona, a mianowicie północno-zacho-

dnia jest pustą i niezamieszkałą; wewnątrz zaś mało co znane. Znanym jest tylko pas ciągnący się z północy od Port Darwin do Adelajdy przez sam środek Australii, gdyż w tém miejscu ciągnie się linia telegraficzna pomiędzy Adeleidą a Londynem, jako też wogóle strona wschodnia.

Mieszkańcy pierwotni są tak zwani Papuas y na północy i australscy murzyni na południu. Ostatni szczep nader nisko stojący i po zażartej walce z osadnikami cofnął się w lasy, gdzie żył korzonkami, owadami i w ogóle wszystkiem co jeść można, nie gardząc i najobrzydliwszym ściervem. Coraz ich jednakże ubywa i przyjdzie czas, gdzie szczep ten zupełnie zniknie z powierzchni ziemi, jak zniknęli Tasmańczykowie, pierwotni mieszkańcy Tasmanii, czyli kraju Van Diemen'a.

Papuas y są mieszkańcami stron północnych i wyspy Nowej Gwinei, która leży prawie u ujścia do zatoki Carpentaria. Ze wszystkich narodów dzikich i niedzikich mają oni właśnie najdziwaczniejszy sposób upiększania ciała. Mężczyźni nakrawają sobie głęboko ciało na ramionach, albo na piersiach, w pewne figury. Straszny ranom nie pozwalają się zagoić, ale nawet jeszcze naciągają je pewnym sokiem jęczącym. Wreszcie owe rany się zablizniają, ale pozostawiają wypukłość grubości wielkiego palca, które do śmierci pozostają. Papuas jest tak dumny z owych znaków, jak me jeden Europejczyk z orderu.

Świat zwierzęcy australski wyróżnia się znacznie od innych części ziemi. Żyje tam kangur, czyli szczer olbrzymi, którego tylne nogi kilka razy dłuższe od przednich, tak że zwierz ten tylko skacząc, posuwać się może naprzód. Przestrzeń jednakże, którą jednym skokiem przebywa, jest znaczna i trudno go na koniu dogonić. Polują na kangura konno i z psami, goniąc tak długo, aż się zmęczy, co dla skakania ustawicznego nie długo następuje. Psy tylko wtedy mogą

kangura powalić, jeśli mu wskoczą na plecy: jeśli jednakże kangur zdoła psa pochwycić, natenczas przyciska go przednimi nogami do siebie i zadusza, albo też niesie do najbliższej wody i tam psa trzyma tak długo zanurzonego, dopóki się ten nie zadusi. Czasem uda się psu gryzieniem i drapaniem wydobyć się z pazurów nieprzyjaciela; wtenczas taki pies nigdy już na kangura nie nacięra, ale stroni od niego zdaleka.

Najzabawniejszém stworzeniem jest dzióbak, zwierzę ssące wielkości kota z kaczym pyskiem i nogami z palcami złączonemi błonką dla ułatwienia pływania we wodzie. Żyje oczywiście w okolicach gdzie pełno wody i więcej znajduje się we wodzie, aniżeli na lądzie. Widzieć go można pływającego po stawach, jak łeb ma tylko wynurzony a resztę ciała wyciągniętego i ledwo na powierzchni widzialnego. Za najmniejszym szmérem znikają i rzadko kiedy już się ukazują. Mieszka w jamach, które na 20 stóp długie, mają dwa wchody, jeden pod wodą, a drugi nad wodą. Młode, jak się wylęgają są nagie i ledwo jeden cal długie. Żywi się owadami.

Z ptaków głównie emu, gatunek strusia, różnego od innych zasługuje na uwagę. Prócz tego jest tam ptak, którego głos zupełnie podobny do trzasku z bicia, dla tego téż nazwano go kuczerem; inny ptak, dzwonek, dostał nazwę od podobieństwa swego głosu do głosu dzwonka. Prócz tego znajdują się tam papugi, ale nie ma pono ptaków śpiewających; z wyjątkiem jednego gatunku z bardzo piękném ubarwieniem.

Osadnicy Europejscy trudnią się uprawą roli i chodowaniem owiec. Z początku osiedlanie się w Australii było tylko karą. Aby zaludnić nowo odkryte lądy i zmniejszyć liczbę zbrodniarzy, których trzeba było żywić w kraju po więzieniach, wysyłała (deportowała) Anglia wszystkich skazańców do Australii, gdzie założono Sydney, dzisiaj miasto pierwszorzędne na całej Australiji. Wygodna, przystań Port Jackson,

daje przytułek niezliczonym okrętom, a stósunki handlowe z całym światem zwabiają do miasta bardzo licznych gości. Rzeczywiście, deportowanie już dawno ustało.

Roku 1851 odkryto w Australii złoto. Skoro się wieść o tém rozeszła, niezliczone tłumy różnego narodu sypnęły się do kopalń. I to powodem, że Australia prędej się zaludniła, aniżeli by to w innym razie mogło być mieć miejsce. Może być, że Australia ze wszystkich części świata najwięcej zawiera w swém łonie złota; znaleziono tam bryłę, która ważyła 233 funtów. Nie dziw tedy, że niedługo sama prowincya Wiktoryi liczyła 156,000 poszukiwaczy złota, którzy łopatami i oskardami kopali ziemię i rozbijali kamieniste bryły.

Australia zresztą jest jeszcze młoda; z tego, jak już postąpiła w kulturze, można przewidywać, że wielką ją oczekuje przyszłość i z czasem wielką w świecie odegra rolę.

Krótką ta wzmianka o Australii niechaj nam wystarczy. Nie chcemy się tu o Australii szérzej rozpisywać, albowiem ona jako część świata, nie wchodzi w zakres niniejszego dzieła.

Nowa Zelandya leży tuż przy Australii. Składa się z dwóch wysp, które po Nowej Hollandyi tworzą największe wyspy całego Archipelagu. Odkrył Nową Zelandyą już Tasman roku 1642, ale nie dowiedział się, że się składa z dwóch części, północnej i południowej. Dopiero Cook przejechał pomiędzy oboma częściami, a cieśnina ta, 5 mil morskich szeroka otrzymała jego nazwisko. Płaszczyzna Nowej Zelandyi zawiera ckoło 5000 mil kwadratowych. Cała wyspa jest żyzną. Leżąc w strefie umiarkowanej, ma klimat zdrowy i przyjemny. Częste dėszcze zraszające urodzajną ziemię, są powodem bujnej roślinności. Wyssokie góry, zastawiające piękne doliny przed szkodliwym zimnym wiatrem południowym, tém więcej czynią po-

był tutaj przyjemniejszym. Klimat Nowej Irlandyi opowiada klimatowi we Włoszech i na Morzu Śródziemnym.

Roślinność jest tam tropiczna. Nieprzebyte dziewcze lasy, to znowu lasy palmowe, urozmaicają obie wyspy. Palma chlebowa udaje się tu przewybornie; nasz len rośnie tutaj dziko. Dzikich zwierząt, oprócz gatunku wilka, wcale tu nie ma, za to pełno bydła, koni, owiec i świń. Ptaków pełno, np. papugi, bażanty, ale i skowronki.

Anglicy założyli tu osady, które z początku bardzo wiele miały do czynienia z dzikimi krajowcami, zwanymi Maori. Szczep ten bitny dopiero uległ, kiedy Anglia rozpoczęła z nimi morderczą walkę. Nie można prawie oznaczyć jakiego są koloru Maori, gdyż tu znachodzimy wszystkie odcienia, począwszy od czarnego hebanu murzyna afrykańskiego, aż do oliwkowatego Malajczyka, a nawet ciemnych rysów hiszpańskich. Zresztą lud to piękny, silnie zbudowany, mający rysy europejskie, nosy orle i piękne włosy. Jak wszędzie tak i tu moda ma swe prawa. Maori ubiera się po europejsku, ale teowuje sobie twarz błękitno; niewiasty teowują sobie tylko podbródek, a spodnią wargę farbują błękitno, albowiem u nich czerwone usta są w pogardzie i są oznaką niby chłopskiego stanu.

Dawniej byli Maori ludożercami, dzisiaj trudnią się tu i owdzie rolnictwem. Zapewne jeszcze w górach i miejscach, gdzie europejska kultura nie doszła, nieraz Maori zje pieczeń ze swego nieprzyjaciela dwunożnego, ale to tylko wyjątkowo, gdyż misjonarze starają się wszędzie szerzyć oświatę, a zresztą Maori mając wiele styczności z Europejczykami, sami uznają, że chociaż mięso ludzkie smaczniejsze, jednakże lepiej jest żywić się wieprzowiną lub wołowiną. Zresztą i samo rolnictwo, któremu się teraz oddaje, musiało korzystnie wpłynąć na ich charakter i usposobienie.

Maori mieszkają we wioskach, które na około otoczone są palisadą, bez bramy; tylko jeden z palów wsadzony jest słabiiej, dając się dowolnie wyciągać — to całe wejście. Na palach mają poumieszczane tu i tam gałki, które są pamiątkami tak po zmarłych jak i żyjących naczelnikach. Pałac naczelnika to buda z desek umieszczona na palu, zupełnie podobna do gołębnika, tylko że większa. Jako oznaka i godło, że tu mieszka mocarz całego takiego kralu (wioski), znajduje się nad pałacem jego straszny posąg bożka jakiegoś. Inne zaś wszystkie budynki to szopy, podobne do budy ceglarskiej. Tu w tej budzie mieszka cała rodzina z całym dobytkiem. Za posłanie służą im skóry zwierzęce.

Maori jednakże, którzy znajdują się w bezpośredniej styczności z Europejczykami przyjęli też ich obyczaje i cywilizację, tak że są z białymi równouprawnieni i dostawają swych reprezentantów nawet do rządu. Na północnej wyspie, więcej zamieszkałej, znajdują się trzy piękne miasta całkiem europejskiego zakroju, a te są: Auckland, Wellington i Nowy Plymouth; na południowej: Nelson, Campbelltown i Iverkargill.

Z płodów z których Nowa Zelandya słynie, jest złoto. Jak w Australii, tak i tu sypnął się tłum ludu dla szukania złota. W roku 1861 liczono 1500 poszukiwaczy złota; obliczono że w roku 1863 wydobyto ze siemi. tego kruszcu za mniej więcej 20 milionów talarów.

B. Oceania albo Polinezja. Wiele z tych wysp jest zamieszkałych przez ludzi szczepu malajskiego. Pomiedzy nimi tyle jednakże jest odcieni i stopni, że nie da się owego szczepu dokładnie zbiorowo scharakteryzować. Malajcykowie są pospolicie koloru brunatnego, w odcieniach od koloru machoniowego do kasztanowego. Usta ich są szerokie, nosy także szerokie, płaskie, okrągłe, włosy czarne. Głównie mieszkają

oni na wyspach Sundzkich, Filipinach. Molukach, wyspach Maryańskich i przyległych.

Inne wyspy są zaludnione mieszkańcami szczepów Malajskiego z australskim, albo też jednym lub drugim. Mnóstwo pomiędzy nimi trafia się ludożerców. Lubo oświata europejska na każdej wyspie znalazła już przystęp, jednakże nie wszędzie mogła dotrzeć do wszystkich zakątków.

Przejdźmy się myślą po archipelagu Australskim.

Na wschód od Filipinów natrafiamy na pasmo wysp, znanych pod ogólnem mianem wysp Maryańskich albo Złoczyńców. Magielan odkrył je pierwszy r. 1521 i nadał im wcale niepoehlebne nazwisko wysp „złodziejskich“, ponieważ mieszkańcy ówcześni umieli bardzo zręcznie okradać przybyłych. Później na cześć królowej hiszpańskiej Maryi, żony Filipa VIgo, przechrzcono je na wyspy Maryańskie. Wyspy te są własnością korony hiszpańskiej, wyspiarze wyznania katolickiego. Główną wyspą, mającą stolicę całego archipelagu jest Guham; miasto stołeczne: Agania. Dawniej Maryańskie wyspy liczyły 40,000 mieszkańców; teraz tylko około 6000.

Arago tak je opisuje:

„Wyspy Maryańskie nie są ani dzikie, ani ucywilizowane; znajdziesz tam obok siebie obyczaje starożytne i tegoczesne, przesąd i bałwochwaltwo pierwszych wieków na pół stłumione fanatyzmem zdobywców hiszpańskich, którzy cały archipelag przekazali swoim następcom. Lud ten wieczorem nie jest tém czém był z rana — od takiej do takiej godziny rzymsko — katolicki, jest tšzamorskim i bałwochwalczym od takiej do takiej chwili; dopiero pobożny ze skruchą, już znowu niezależny od żadnych obrzędów wiary. Człowiek kradnie i wesoło spowiada się przed duchownym że skradł; odbędzie naznaczoną pokutę, przemyślając o nowej kradzieży, a sumnienie jego bynajmniej się tém nie trwoży — przypuściwszy, że ma sumnienie. Tutaj

każdy idzie do kościoła, modli się żarliwie; wszyscy biją się w piersi, całują ziemię z najgłębszą pokorą. Lecz po skończoném nabożeństwie zapomina o wszelkiej religii.“

Agania ma ulice szerokie i proste, ma rynek, kościół i pałac. Domy są jedne murowane, a drugie z bambusu, a do tego budowane na palach o cztery lub pięć stóp od ziemi, niby gołębniki; wchodzi się do nich po drabinie, którą na noc wciągają. Każdy dom składa się z dwóch izb; w jednej śpi państwo, a w drugiej dzieci, kury, wieprze, goście zwyczajni lub cudzoziemcy. Sprzętów nie mają prawie wcale z wyjątkiem ławki, kamienia do tarcia tabaki i kilka obrazków świętych, do tego kilka naczyń z kokosu i widelce z drzewa sandałowego, oraz różańce — to wszystkie sprzęty. Jedyłą ozdobą miasta jest pałac gubernatora.

Ubiór Maryańczyków odpowiada klimatowi. Kobięty noszą na sobie kaftan szeroki zasłaniający im do połowy piersi, a zostawiający szyję i ramiona gołe; z pod kaftana spuszcza się spódnica aż do kolan, od kolan zaś nogi gołe. Głowy niczém nie okrywają, całą jej ozdobą są długie piękne włosy. Jeden jednakże strój głowy, wcale nie powabny, jest tu we zwyczaju; kobiety ubierają się w kapelusze męzkie i skoro tylko którą na to starczy, natychmiast się nim szpeci. Jeszcze inny rodzaj kokieteryi wyróżnia Maryanki od innych wyspiarek, albowiem młode dziewczęta, chcąc się okazać pięknymi, palą i żują tabakę. Najwytworniejszy jej powab polega na tém, aby mieć w ustach cygaro na sześć cali długie, a mające najmniej ośm linii średnicy. Mężczyzni zaś noszą koszulę białą do pół uda dochodzącą i krótkie spodnie; nogi i głowę noszą gołe. Cera ich jest ciemno-żółta, a zęby mają świetnej białości, ale je psują sobie zuciem betelu posypanego jeszcze niegaszonym wapnem.

Wyspa R o t a mało co różni się od Gaham. Miasto stołeczne Rota zna razem ze wszystkimi mieszkańcami wyspy około 500 mieszkańców. Może nigdzie na świecie nie udałoby się natrafić na lud więcej nierozsądnie pobożny, jak tutaj właśnie. Ulice bowiem Roty są wybrukowane krzyżami, a ponieważ każdy przechodzący, czy to mężczyzna, czy to kobieta, zawsze przed znakiem owym świętej wiary klęka, przeto można powiedzieć, że lud rotyjski chodzi na klęczkach. Domy, jak na Gaham, zbudowane są na palach. Mężczyźni tutaj nie noszą właściwie żadnego ubioru, chyba tylko w Niedzielę wciągają na się spodnie; kobiety zaś osłaniają się tylko chusteczką, przez biodra sznurkiem przewiazaną. Za to dziewczęta rosyjskie są piękniejsze i zwinniejsze aniżeli gahamskie.

Maryańczykowie są narodem leniwszym i ociężałym, chyba tylko udają się na tańce nakazane przez gubernatora. Po owych tańcach główną uciechą Maryańczyków są walki kogutów. Wyprawiają sobie walkami owemi formalne igrzyska, niby hiszpańskie walki byków. Koguty przeznaczone do walk nie są to prosto z kurnika wyjęte ptaki, ale zwierzęta do tego stósownie wytresowane. Przygotowują oni koguta poprzednio, zwiększają siłę nogi zwierzęcia. Na ten cel przywiązują ptaka za prawą nogę do słupka, a potem kładą mu z dala żywność.

Ptak aby się dostać do żywności targa się i szarpie, a przez to ustawicznie wzmacnia muszkuły nogi i z czasem nabiera zadziwiającej siły. Do walki zaś przywiązują jeszcze do nóg kogutom ostre małe nożyczki. Zwykle jeden z przeciwników piérzatyh pada trupem na placu, a czasem i obaj.

Charakterystyczną jest u Maryańczyków, że szanują płęć niewieścią. Tak w Gaham jak i Rota kobiety tylko rozstrzygają spory pomiędzy mężczyznami; po śmierci mężczyzny trwa żałoba dwa miesiące, a po śmierci kobiety sześć miesięcy.

Na południe od Maryańskich leżą wyspy Karolińskie, albo krótko Karoliny, zwane także wyspami św Barnabasza lub św. Andrzeja. Archipelag ten, nazwany Karolińskim na cześć Karóla IIgo, króla angielskiego, składa się z przeszło 400 pojedynczych wysp, które aczkolwiek już 1686 przez Hiszpanów odkryte, jednakże dopiero w teraźniejszym wieku stały się znajomemi. Kapitan rotyjski Litke w swój podróży na około świata odkrytej w latach 1826—1829 znajdował się na Karolinach przez całe pół roku i miał czas studyować ich zwyczaje. Później Jakób Arago zwiedził je i opisał.

Ze wszystkich wyspiarzy Polinezyi Karolińczycy posiadają charakter najłagodniejszy. Niepodobno ich nie polubić, kto z nimi czas niejakiś obcował. Nie, umięją oni się prawie gniewać, zawsze się uśmiechają nawet gdy łają. Życie ich czynne, nie pozwala im gnuśnieć, ustawicznie znajdują się w ruchu, to na lądzie, to na wodzie. Ponieważ pojedyncze wyspy, aczkolwiek bardzo urodzajne, jednakże dla swój małej objętości a przeludnienia nie mogą dostarczyć odpowiedniej żywności, przeto Karolińczycy głównie na wodzie szukać muszą utrzymania. Tutaj żyją w morzu zwierzęta, które rzadko gdzieindziej znaleźć można: pomiędzy nimi olbrzymia muszla i s y r e n y, czyli ryby mające głowę podobną do twarzy człowieczej.

Wyspiarze są wysokiego wzrostu i kształtnie zbudowani; najczęściej są koloru miedziano-żółtego, albo miedziano-czerwonego. Czoła mają szerokie i otwarte, ozdobne pięknemi włosami; oczy ich, podobne cokolwiek wycięciem do ocz chińskich, są bardzo żywe; nosy orle, a zęby pięknie białe dodawają im wdzięku. Kobięty nie żują ani betelu, ani tytoniu, dla tego zęby ich równają się białością kości słoniowej.

Religia Karolińczyków jest zbiorem pięknych myśli i mnóstwa niedorzeczności. Wierzą w życie pośmiert-

ne. „Gdy Karolińczyk był za życia dobrym. — są słowa Jakóba Arago, — to jest, gdy nie bił żony, istoty słabiej, której winien opiekę — gdy nie kradł żelaza, rzeczy najpożyteczniejszej dla wszystkich, natenczas po śmierci przemieni się w obłok i odbierze moc odwiedzenia czasami swoich braci na ziemi, lub przyjaciół, na których rozlewa błogosławieństwo lub zionie gniewy. tósownie do tego, jak sobie swém życiem na to zasługuje. Gdy Karolińczyk był złym, natenczas zostanie po śmierci zamienionym w rybę *tiburiu* (rekin), która ciągle walczy z innemi rybami. „Wierzy także w trzech bogów: ojca, syna i wnuka: ci trzej bogowie rządzą światem; jeśli się co do zamiarów nie zgadzają, natenczas zdają się na głosy, a większość przemaga.“

Wyspy wszystkie podzielone są na kilka obwodów, z których każdy należy do naczelnika opłacanego daniną ze żywności. Inny podział wysp jest na wysokie i na niskie; pierwsze mniej żyzne, leżą wysoko nad powierzchnią morza; drugie najurodzajniejsze leżą tak nisko, że morze często je zalewa i staje się przyczyną strasznych powodzi. Pomimo tego jednak niskie wyspy są najludniejsze, lubo bardzo nałe. Wysokie umieją ze sobą wojować, podczas gdy na niskich ludzie ledwie wojnę z nazwiska znają. Za całą broń na niskich wyspach używają procy; bitwy ich wcale nie są krwawe — zwyciężeni opłacają je ledwie kilkoma garściami wyrwanych włosów, albo też kilkoma guzami. Dla załatwienia sprzeczek i zatargów wybierają sobie z pomiędzy siebie tamorów. Tamor jest naczelnikiem, sędzią, rozjemcą. Karolińczycy są im ślepo posłuszni. „Byłem raz świadkiem — powiada Arago — jak wielce Karolińczykowie szanują tamorów. Dwaj młodzieńcy wdrapali się na drzewo kokosowe i zrywali z niego owoce. Gdy zeszli na ziemię, powstała między nimi sprzeczka o to, któryby z nich miał je otwierać. Już miało przyjść do bojki, gdy nagle przybywa tamor,

a widząc że się walka zaczyna, wydaje okrzyk, rzuca w powietrze kij, a w téj chwili dwaj Karolińczycy stają gdyby piorunem rażeni; kamienie wypadają im z rąk, a rzuciwszy się w objęcia, ściskają się po bratersku.

Wadą Karolińczyków jest szpecenie się dziwacznym strojem. Tamory noszą na sobie płaszcz z plecionki kokosowej, obsadzony zbytnie kółkami blaszanemi, które za każdym krokiem brzęczą i rażą ucho jednostajnością. Karolińczyk jednakże nie znudzi się jednostajnem brzęczeniem, gdyż sama jego nawet muzyka jest bardzo jednostajną; nie jest to właściwie muzyka, ale zmiana głosu o dwa lub trzy tony i z rozmaitą szybkością wymawiania pojedynczych wyrazów. Wszystko to jest jednostronne, jednostajne, nudne. Tak kobiety jak mężczyźni przekłówiają sobie uszy rybią ością i przywiązują sobie ciężary, które wreszcie konchę uszną przedłużają aż na ramiona. Zresztą pełno na nich bransoletek, naszyjników. Mężczyźni za całe ubranie mają pas papyrusowy w koło bioder, kobiety zaś nie mają żadnej odzieży, prócz naszyjników i bransoletek.

Nie potrzeba dodawać, że wielu z wyspiarzy przyjeło w części zwyczaje europejskie — o tyle nie ma co wspominać, gdyż już zatracili charakter oryginalności.

Głównem zatrudnieniem Karolińczyków jest rybactwo. Największą rybą, na którą czatują jest dugong, albo syrena. Ma ona niejaki podobieństwo do twarzy ludzkiej, ale do zobaczenia tego podobieństwa potrzebną jest znaczna ilość fantazyi. Poławiają syreny tak dla smacznego mięsa, jako też i dla zębów, które mają wartość słoniowej kości. Rybacy na małych, lekkich łodziach wypływają na miejsca, kędy syreny chętnie przebywają. Tutaj w zatokach roślinami morskimi zarosłych pokazują się najczęściej te od 16 do 20 stóp długie ryby; tu igrając wysuwają się nad powierzchnią wody bądź to połową ciała, bądź też

tylko głową, ale to tylko na moment, gdyż zaraz znikają pod wodą. Skoro syrena w pewnej odległości od rybaka ukaże się na powierzchni, ten rzuca silnie harpunę i na ten sposób zabija rybę. Wprawdzie nie udaje się to tak gładko, gdyż syrena mająca 20 stóp długości i odpowiednią grubość, porywa łódź ze sobą, wlecze na morze pomiędzy skały koralowe i nieraz ją rozbija. Kiedy jednak rybakom szczęście posłuży, natenczas wyciągają rybę na ląd, ćwiartują i nasoliwszy, suszą na słońcu.

Staranie o utrzymanie życia zmusza ich do odbywania podróży morskich do przyległych wysp archipelagu, a nawet i dalej jeszcze. Jest to jednakże wielką od nich odwagą, ponieważ w tych właśnie stronach panują wielkie orkany zwane tyfonami, a prócz tego morze zasiane jest skałami koralowymi, z których zresztą cała grupa Karolinów się składa. Do tego dodać trzeba jeszcze bardzo niedostateczne ich pirugi (czołna), które małe, wąskie, nie dają bezpieczeństwa przed falami. A jednakże tameczni mieszkańcy kilka razy do roku muszą odbywać podróż od 400 do 500 mil morskich. Przypadki zatonięcia rzadziej się zdarzają, aniżeli by się to zdawało; wysp bowiem jest wiele, dla tego zaginąć niepodobna, bo jeśli chybią drogę do jednej wyspy, to natrafią na drugą; zresztą umieją się orientować według gwiazd i słońca.

Ku południowi natrafiamy na mnóstwo wysp ugrupowanych w kilka archipelagów, jako to wyspy Salomońskie, Nowe Hebrydy, Nowa Kaledonia. O nich możnaby to samo powiedzieć co o Karolinach, z wyjątkiem, że mieszkańcy tu i owdzie skłaniają się do ludożerstwa. Mianowicie archipelag Fidzi słynie jeszcze dotąd z ludożerców, pomimo że misjonarze katoliccy szerzą tam wiarę chrześcijańską. Wyspy Przyjacielskie, jako też Żeglarskie najprędzej ze wszystkich przyjęły europejską kulturę, a mianowicie osta-

tnie wyspy, które po nieprzyjacielsku Europejczyków przyjęły. Dzisiaj mają ich królowie pałace i miasta zbudowane całkiem na sposób europejski.

Archipelag wysp Cook'a zasługuje już o tyle na uwagę, że jest to prawie jedyna na całym świecie urodzajna ziemia bez wody; nie ma tu ani źródła, ani rzek, ani stawów; jedyna woda, której mieszkańcy tameczni użyć mogą, jest deszczowa. Do picia używają mianowicie mleka kokosowego. Cook odkrył wyspy te 1777 roku, ale potem zupełnie o nich zapomniano. Dopiero roku 1821 misyonarz Williams je powtórnie odkrył, a co najważniejsza, nawrócił do chrześcijaństwa. Stołeczne miasto Ratonga wygląda jak piękny ogród, i posiada kościoły, zakłady naukowe, drukarnie i inne podobne instytucje.

Wyspy Towarzyskie (raczej Towarzystwa) zwane także wyspami Króla Jerzego III, odkryto już 1606 roku. Jednakże Cook je dopiero zbadał i nazwał mianem Towarzyskich na cześć Towarzystwa Naukowego w Londynie. Najważniejszą wyspą w całej grupie, składającej się z 11 większych, jest Tahiti, albo Otahaiti, która jest stolicą gubernatora francuzkiego i siedzibą królów wyspiarskich.

Archipelag wysp Mulgrawskich leży w środku wszystkich wysp, dotykając południowemi równika. Odkryli je roku 1788 kapitanowie Marszali Gilbert. Nazwisko nadał im jednakże angielski kapitan Mulgrave. Mieszkańcy wysp tych mają podobieństwo do Karolinczyków, ale wyróżniają się od nich i od wszystkich wyspiarzy australskich wstydlivością, brakiem której grzeszą wszyscy inni. Osobliwszy a zarazem okrutny, wcale do ich charakteru zkąd inąd nieprzystający zwyczaj, że matce wolno tylko troje wychować dzieci, a resztę musi żywcem pogrzebać.

Wulkaniczne wyspy Sandwichskie, najważniejsze z całego archipelagu australskiego, ponieważ tutaj

przystawają okręty kursujące pomiędzy Ameryką a Australią lub wyspami Sundzkiemi, odkrył Cook 1778 roku i nadał im to miano na cześć ówczesnego lorda admirała nazwiskiem Sandwich. Największą wyspą jest smutnej pamięci O waihi albo H a w a i, gdzie Cook 14go Lutego 1779 roku postradał życie, a uczony świat najgorliwszego badacza. Stołeczną zaś wyspą jest W a h n albo O a h n z królewskim miastem H o n o l u l u. Za czasów Cooka liczono 400,000 mieszkańców, dziś ledwo ćwierć tyle. Do śmiertelności przyczynia się mianowicie pewien rodzaj wódki angielskiej pędzonej z jałowcu, a zwanęj gien.

Jak wszędzie tak i tu gdzie wyspiarze stykają się ustawicznie z Europejczykami, przyjęli ich zwyczaje i religią. Lubo mają wiele jeszcze rysów charakterystycznych, jednakże zacierają się one zwolna. Obecnie wszystko urządzone na stopę europejską, a królewska familia kształci się w Paryżu. Chyba tylko w głębi gór i lasów, tudzież na niektórych niedostępnych cywilizacji pojedynczych wyspach znajdują się jeszcze Sandwichrzykowie w pierwotnej dzikości. Cały archipelag jednakże nabiera coraz więcej nowożytniej barwy.

Dla powodów klimatycznych Sandwichrzykowie nie żyją długo; wnet się rozwijają, ale wnet téż więdną i znikają z widowni tego świata. Dziewczyna mająca lat jedenaście zostaje matką, w szesnastym roku staje się kobietą dojrzałą a w czterdziestym już zgrzybiałą babką. Lubo mężczyźni dłużej tutaj żyją i rozwijanie ich dzieje się wolniej, z tém wszystkiem starzec sześćdziesięcioletni jest wielką rzadkością.

Wyspy Sandwich należą do najwyższych pomiędzy wyspami australskimi; brzegi ich są poczęści niskie, ale coraz się wzbijają w górę, aż dochodzą znacznej wysokości. Na Owaihi jest góra wulkaniczna nazwiskiem M a n n a - R o a, wysokości góry alpejskiej Mont-blanc. Jest ona zupełnie regularnym ostrokrągiem

zwolna się tylko ku górze zwiężającym, a ztąd cała Manna-Roa nader osobliwszy przedstawia widok. Cała jest pokryta lasami, pomiędzy którymi tu i tam widać zwiészające się masy lawy, tu i tam piękne łąki i zyzne pola.

Mieszkańcy cywilizują się na dobre. Niestety! cywilizacya ich następuje za szybko i że tak powiemy cywilizowaną oponą okrywają najśmieszniejsze barbarzyństwo. Wiedzą o tém, że nago chodzić jest nieprzystojnością, dla tego stroją się w paradny frak europejski, ale odziewają go na całkiem nagie ciało i oprócz fraka i kapelusza na głowie nie mają ani łatki innéj na sobie.

Podróżnik rosyjski Kotzebue znajdując się na Owaihi, miał sposobność znajdować się w towarzystwie króla Sandwichskiego imieniem Tamama. Posłuchajmy jego własnego opowiadania:

„Gdyśmy wylądowali, wyszedł nam król naprzeciwko ze swymi najzacieńszymi wojownikami, i przystąpiwszy do mnie, uścisnął mnie serdecznie za rękę. Lud gnany ciekawością zebrał się licznie, ale porządek jednak panował i nie wolno było ani się cisnąć, ani robić hałasu. Stałem więc teraz obok sławnego Tamama, który tak swą przyjazną otwartością, jako i swą godnością wzbudził we mnie wielki szacunek. Zaprowadził mnie do swego słomianego pałacu, który według krajowego zwyczaju składał się tylko z jednéj obszernej izby, na wszystkie strony przestwornéj, aby mógł wiatr ją przewiewać i łagodzić temperaturę. Podano nam misternie wyrabiane krzeselka europejskie i postawiono przed nas stół mahoniowy. Pomimo że król ma po europejsku zbudowane pałace kamiennne, jednakże przebywa on najchętniej w swém pojedynczém pomieszkaniu, aby uszanować zwyczaje krajowe. Ubiór jego podpadł mi pod oczy, gdyż składał się z białej koszuli, błękitnych spodni, czerwonej kamizelki i czar-

nej chustki na szyji.*) Podobno jednak stroi się czasami bardzo paradnie, gdyż posiada kilka mundurów przepysznie wyszywanych i innych ubiorów. Dworzanie, którzy w czasie audyencji siedzieli na ziemi, byli jeszcze dziwniej ubrani; mieli oni fraki na gołym ciele, co bardzo pocieszny sprawiało widok. Do tego trzeba wiedzieć, że owe fraki rzadko kiedy są im wraz, albowiem nigdy prawie na ich osoby nie są robione. Jednemu ministrowi sięgała talia aż do łopatek, a że cały frak był mu za ciasnym, dla tego z wielką biedą zdołał go zapiąć, ztąd biedak ledwo mógł wytrzymać w swém ubraniu, a jednakże śmieszna etykieta nie dozwalała pozbyć się męczarni.“

Kobięty sandwichskie — a mówimy tu o pospolitych, które jeszcze nie przyjęły całkowicie zwyczajów europejskich — tatuują swe ciało. Zwyczaj tatuowania znachodzimy na całym świecie, pomiędzy wszystkimi półdzikimi i całkiem dzikimi ludźmi, ale nie w ten sposób co na Sandwich. Tutaj Sandwichczanki tatuują sobie na każdej stronie ciała inne desenie, i to nie esy floresy lub arabeski, ale kozy, ptaszki, zegarki i tam dalej. Jeden policzek ma na sobie obraz kozy, a drugi papugi — jedna pierś strojna w portret kozła, a druga świni, a w środku błyszczy zegarek. Na głowie chciałyby ustawicznie nosić wieńce, ale że kwiaty tu są rzadkie, przeto Sandwichczanki posypują sobie włosy blisko czoła wapnem niegaszonym, którym ubielone zdala sprawiają złudzenie, jakoby głowa otoczona była wieńcem liliowym. Prócz tego noszą na szyi naszyjniki bądźto z ziarenek rozmaitych, bądź to z kostek.

Mężczyźni mają dziwny zwyczaj noszenia wąsów po jednej tylko stronie twarzy i strzyżenia włosów także tylko z jednej strony głowy. Skoro ma wąs na prawej stronie, to też na prawej stronie strzyże

*, A natém nie miał surduta i był boso! Przyp. autora.

włosy, a na lewój stronie rosnąć im pozwala. Bardzo to dziwne na Europejczyku robi wrażenie. Ale -- co kraj, to obyczaj, i Sandwichczykowie równie tak się śmieją ze dwóch połówek wąsów, jak Europejczycy z ich jednej połowy.

Religia Sandwichczyków jest mieszaniną dziwaczną rozmaitych pojęć. Kapłani pogańscy utrzymują lud w zabobonach, gdyż w innym razie nie mogliby ludem rządzić. Jest to zwyczaj, że kapłani w pewnych czasach ogłaszają dnie lub rzeczy *t a b u*, to jest święta. I tak np. morze jest trzy razy na miesiąc *t a b u*, i wielki kapłan ma prawo nawet śmiercią tego ukarać, ktoby się tego dnia kąpać w morzu odważył — ale ma prawo rozkazania tylko morzu, które kary wykonać winno na jego rozkazy, ale jak każdy się domysli, z prawa tego nigdy kapłan nie korzysta z téj prostej przyczyny, że morze lada kapłanowi sandwichskiemu nie okaże się zaraz posłuszném, coby kapłana tylko w oczach ludu poniżyć mogło. I rzeki mogą stać się *t a b u*. Jeśli dzień jest *t a b u*, a kogut zapieje, rozkazuje kapłan przestępcę takiego natychmiast schwycić i zamknąć na cały dzień o głodzie.

Najgłówniejszém miejscem *t a b u* są *moraity*, czyli cmentarze sandwichskie. Są one zwykle otoczone płotem, bądźto sztucznym, zwyczajnym, albo też żywym. Na środku cmentarza stoi wzniesione rusztowanie drewniane, a na jego wierzchołku kościotrup cięłęcia. Na pojedynczych belkach rusztowania wiszą rozmaite rzeczy, jako to szmaty, owoce i gałązki. Są to ofiary, których nie wolno się nikomu dotykać. Prócz tego pełno brzydkich posągów, oznaczających bóstwa. Najmniejsza rzecz tu się znajdująca jest *t a b u*, a szczególnie dla obcego. Dla Sandwichczyka są *moraity* największą świętością, której broni i za którą życie kłaść gotów. Naruszenie i znieważenie nieroztropne *moraitu* było powodem śmierci Cooka. Arago był świadkiem modlitwy Sandwichczyków.

„Dwóch Sandwichczyków — powiada — i dwie młode dziewczyny przybyły do moraitu w kilka chwil po mnie. Najstarszy zatrzymał się najprzód, i mruczając przybliżał się powolnym krokiem do stóp bałwana; dotknął go się trzy razy głową i obszedł do koła machając rękami. Drugi z kolei uczynił to samo, a po nich dziewczęta zaczęły dreptać w koło drewnianego boga; ponieważ jednak nie mogły głową dosięgnąć nóg jego — gdyż stał, jak wszystkie, na wysokim postumencie — mężczyźni podnieśli je w górę, i tym sposobem dopełniły przepisanego obrządku. Następnie rozpoczęto znowu klepać modlitwy; wyrazy stawały się coraz głośniejsze. Modlitwa trwała przez pół godziny, a gdy wszystko powiedziano i zrobiono, to cztery pobożne osoby odeszły, ale tyłem i podsakując.“

Narodową potrawą jest poi. Jest to ciasto robione z wodnej rośliny cebulkowatej, zwanój tarra. Cebule owe odrywają od korzenia, pieką, trą na masę i rozrabiają wodą, następnie wlewają w próżne dynie, i pozwalają im stać dopóki się ciasto nie stęgnie i nie nabierze kwaśnego smaku. Jedzą owo ciasto, nabierając palcami i wkładając je w usta. Lubo rodzaj owój potrawy wcale nie wygląda apetycznie, ani rzeczywiście nie ma żadnego przyjemnego smaku, jednakże żadna uroczystość, żaden familijny obiad bez poi obyć się nie może. Nawet na stole królewskim, na którym znaleźć można i wina kosztowne, także poi znajdować się musi, które wszyscy wyspiarze bez wyjątku jedzą palcami, pomimo, że noże i widelce leżą na stole. Co kraj, to obyczaj!

Wspominamy tu o jednej wyspie zwanój Żoną Lota. Jest to z morza na 450 stóp wystająca skała, zewsząd niedostępna. Nadano jój tę osobliwszą nazwę, ponieważ sama stoi, niby słup na pustyni. Odkrył ją William Douglas. Oczywiście nie jest ona zamieszkałą.

V. Morze Lodowate Północne.

Równie jak Morze Arktyczne, czyli Lodowate Północne, zawarte jest w obrębie koła biegunowego północnego, tak antarktyczne, czyli lodowate południowe, stanowi obszar objęty kołem biegunowym południowym. Różnica pomiędzy obu odpowiadającymi sobie morzami jest jednakże znaczna, bo biegun północny stanowi zapewne otwarte morze, a w koło bieguna południowego rozciągają się bez wątpienia lądy, które w przybliżeniu liczą na 200,000 mil kwadratowych.

Jeśli spojrzymy na mapę kuli ziemskiej, to zauważyć musimy, że północną półkulę wypełniają lądy, a półkula południowa zalana jest wodą, i tylko mała Australia z wyspami, wprawdzie licznymi, ale stosunkowo nieznacznymi, przedstawia kontynent. Ztąd już oddawna wyrodziła się we wszystkich myśl, że dla równowagi koniecznie na południu znajdować się musi ląd stały. Kiedy więc w roku 1772 francuzki żeglarz Kerguelen pod 50^o szer. połud. a 80^o dług. zach. napotkał na pasmo wzgórz, sądził że odkrył już ów ląd stały. W trzy lata później tj. 1775 roku Cook już dopłynął do 61^o szer. połud. i wykazał, że Kerguelen nie odkrył stałego lądu, ale wyspę, która też dostała nazwisko swego odkrywcy, a Cook nazwał przez siebie odkryty ląd krajem Sandwich'a, nie wiedząc początkowo czy to wyspa, czy ląd stały; nie długo przekonał się jednak, że to archipelag, składający się z siedmiu większych wysp. Roku 1819 kapitan Smith odkrył południową Shetland, archipelag wysp, leżący więcej na południe, aniżeli wyspy odkryte przez Cooka. Następnie żeglarze rosyjscy odkryli wyspę Piotra pod 69^o szer. połud. a nareszcie wyspę Aleksandra I. Po za ostatnią ujrzano długie, wysokie wybrzeże, które później dostało nazwę kraju Grahama. Wszystkie dotąd odkryte wyspy i wybrzeża były оголоcone z roślinności i były tylko mieszkaniem ptactwa morskiego,

oraz fok i rob. Zatem na południu wyżej sięga zimno, aniżeli na północy.

W roku 1820 Bellingshausen dotarszy do 67° natrafił na zapory lodowe tak silne, że musiał udać się z powrotem. Tymczasem we dwa lata później 1822 roku, kapitan Weddel, trudniący się połowem fok i rob, dotarł aż do 74° szer. płd., a lodów nie znalazł, z wyjątkiem nagromadzonej kry; owszem im dalej płynął na południe, tém więcej kry ustępowały, a morze okryte było ptactwem wszelkiego rodzaju. Dziwne to zjawisko tém więcej uderza, że klimat południowy jest ostrzejszy od północnego. Z obawy, aby go w tyle lody nie odcięły od powrotu, musiał się nawrócić.

Wreszcie James Ross, ów Cook we wyprawach kubiegunowych, wypłynął 1839 r. na odkrycia do bieguna południowego. Rząd angielski wysłał go z dwoma okrętami, których nazwiska Erebus i Terror. Zadaniem jego było wynaleźć południowy biegun magnetyczny. Obrał on drogę Bellinghausena. Dotarszy do pewnej szerokości napotkał na pas zbitę kry, ale przebywszy ją szczęśliwie, znalazł się na otwartym morzu. Po jakimś czasie ujrano wybrzeże wulkaniczne, wysokie, ze szczytami sięgającymi miejscami od 7—10.000 stóp w górę. Przerwy pomiędzy pojedynczymi szczytami wypełnione były olbrzymimi lodowcami, daleko w morze sięgającymi. Zresztą całe wybrzeże składało się z lawy i ze skał bazaltowych. Wybrzeża były tak strome, że okręty musiały płynąć kilkaset mil, zanim zdołano wylądować i to jeszcze nie na owym pierwszym wybrzeżu, które na cześć królowej angielskiej nazwano krajem Wiktoryi, ale na wysepce nazwanej Possession, co znaczy: objęcie w posiadłość. Tu jeszcze, lubo to było już pod 77° stopniem, uwijało się mnóstwo ptactwa, rob, wielorybów, a nawet i ryb różnego gatunku, żadnego jednak nie było śladu roślinności. Tu też po za pasmami gór stałego ładu, który się bez-

wątpienia za wybrzeżem owém rozciąga, musi się znajdować biegun magnetyczny, ale niepodobieństwem było do tego miejsca dotrzeć.

Najgłówniejszem odkryciem owéj wyprawy są dwa wulkany, z których jeden czynny 12,000 stóp wysoki, Erebus, a drugi, jak się zdawało wygasły: Terror. Odtąd ciągnie się długie pasmo, zapewne lądu, ale wybrzeże jego stanowi wał lodowy, stromy, do 200 stóp wysoki, który nie pozwolił dalszych badań. Tak Ross, który nawet cały biegun opłynął, dotarł tylko 1842 roku do 78° szer. pld.

Dalsze odkrycia na półkuli zachodniej, aczkolwiek nie sięgają daleko na południe, jednakże są liczne. Mnóstwo pojedynczych wybrzeży, dostępnych tylko od północy, odkryto na samém kole biegunowem półkuli zachodniej. I tak począwszy od wysp Baleny'ego, znajdują się urywane wybrzeża lądów Adelii, Claire i innych.

Z tego wszystkiego wynika, że biegun południowy zalegają wielkie lądy. Ludzkość z nich jednakże żadnego użytku mieć nie będzie, gdyż stosunki klimatyczne, ostrzejsze tutaj nawet, aniżeli na północy, nie dozwolą nigdy pomyśleć nawet o osiedleniu się w tych stronach ludzi nawet takiej natury, jak Eskimosi grenlandzkiego. Oprócz pingwinów, nurów, gęsi arktycznych żadna inna żywa istota na nich się znajdować nie może. Morze jest prawda pełne rozmaitego zwierza, lecz dla mieszkańców kraju, którego strome lodowe wybrzeża są 200 stóp wysokie, morze na nicby się nie przydało, gdyż nie miałoby sposobu dostać się do niego, ani spuścić na niego łodzi. Więc lądy południowe pozostaną martwą, śpiącą naturą, dopóki Stwórca przewrotami na ziemi nie zmieni klimatu i nie obudzi przez to bieguna południowego z letargu.

Morze jednakże i powietrze pełne jest życia. Nadbrzeżne skały i wysepki są niemi pokryte, a od wieków składana mierzwa tworzy bardzo grube pokłady.

Fetor nieznosny nie pozwala poławiaczom wielorybów lądować, a przynajmniej dłuższy czas zatrzymywać się na lądzie.

Charakterystycznym ptakiem tych okolic jest kaczka szara, ważąca do 30 funtów, dalej kaczka antarktyczna, a mianowicie pingwiny, które jak nie umieją dobrze chodzić, a wcale nie umieją latać, tak za to przewybornymi są pływakami. Natrafiano na pingwiny do 300 mil od lądu oddalone na otwartém morzu. Kiedy Ron wylądował na wyspie Possession, majtkowie musieli najprzód stoczyć walkę z pingwinami, ponieważ te z wybrzeży ustąpić nie chciały. Są to właściwie ptaki wędrowne, gdyż opuszczają swe siedziby i udają się ze zmianą pór roku na inne miejsca. Dzieje się to nagle, tak że nikt ich odpływających widzieć nie może. Są bardzo żarłoczne, ale też za to stają się bardzo ciężkimi. Pingwin (stuścioch) ważący 80 funtów nie jest wcale rzadkością.

Tak jak powietrze, a właściwie wybrzeże lądów roji się ptastwem, tak morze roi się wszelkimi gatunkami zwierząt żyjących w tym klimacie. Wszystkie one są pokrewne znanym nam już rybossakom, fokom morza lodowatego północnego; mają też te same nazwiska. Nie ma tam jednakże niedźwiedzia białego. Z fok mianowicie zasługuje na uwagę:

Słoń morski, ważny dla tego, że tłuszczu jego używają we fabrykach sukna do zmiękczenia wełny, a skóry na pociąganie kuferków. Jest on 20—30 stóp długim, i waży tyle co przeszły, a czasem i więcej.

Poławianie tego zwierzęcia jest nader łatwe, ponieważ całą bronią słońa morskiego jest jego ryk i straszna fizyognomia, w którą się ubrać umie. Gdy bowiem widzi się zaczepionym, natenczas przedłuża górną wargę, niby trąbę słońa, czasem na kilka stóp długości, a przytém ryczy okropnie. Rzeczywiście wygląda on wtedy straszliwie i człowiekowi mogliby się

wszyscy szatani z piekła przyśnić. Poławiacze jednakże śmieją się z tego, gdyż jedno uderzenie pałką w nos zwierzę to powala, a rana każda, zadana dzidą, jest śmiertelną.

Anglicy mianowicie polują na słonie morskie.

Na morzu lodowatém północném rozróżniają trzy gatunki wielorybów: wieloryb pospolity, flokfisz czyli z angielska humpback, a trzeci finfisz albo finback. Poławiacze gonią przedewszystkiém za wielorybem pospolitym, nie mającym pletwy grzbietowej, a za to tym grubszy pokład słoniny. Napotykają się wieloryby dochodzące 80 stóp długości, lubo rzadko. Zwykłe egzemplarze mają 50—60 stóp, a z takiego wieloryba wytapiają mniej więcej 100 beczek tranu.

Flokfisz jest równy pospolitemu wielorybowi co do wielkości, ale użytek z niego mniejszy, albowiem i pokład tłuszczu na nim cienki i tran z niego dobytý nie dorównywa dobroci pierwszego. Połów na niego przedstawia rozliczne trudności. Nie tylko że trudno go podejść, ale jeszcze ugodzony harpuną zanurza się bardzo głęboko, tak że liny nie starczy, i aby łódź ratować od zatonięcia, trzeba linę odciąć. Poławiacze urządzają tylko wtenczas na niego polowanie, jeśli brak wielorybów pospolitych.

Trzeci gatunek, finfisz, dorasta często do 90 stóp długości co wieloryb pospolity. Jest koloru żółto-brunatnego, częstokroć z ciemnymi plamkami. Poławiacze nie polują na niego ponieważ to największém grozi niebezpieczeństwem. Ugodzony harpuną rzuca się gwałtem, zamienia wodę w koło siebie we wir straszliwy i góry piany, a potem albo zatapia się głęboko w morze, albo też z przerażającą szybkością ucieka i ciągnie łódź za sobą.

Wprawne oko poławiacza, — powiada Dumont d'Urville, — już zdala rozpoznaje owe trzy gatunki po pryskaniu wody w górę. Promień pospolitego wieloryba jest krótki i nie za wysoki; flokfisz pryska sil-

niejszym promieniem, wydając przytém szelest podobny do oddalonego huku dział; finisz pryska ze wszystkich najwyżej i promień wody, jaki wyrzuca podobny jest do fontanny.

Właściwém siedliskiem wielorybów są szerokości z klimatem umiarkowańszym. Ich cofanie się niby ku biegunom zapewne nie polega na tém, aby się rzeczywiście cofały, tylko poławiacze zwierzęta te przerzedzili w ich właściwej ojczyźnie, ztąd tylko jeszcze w niedostępnych szerokościach natrafić je można. Zdala od wybrzeży również wieloryby nie przebywają. Samiczki kryją się w zatokach i tam rodzą jedno młode, ponieważ w zatokach zwykle i pożywienia więcej znajdują i morze jest spokojniejsze.

Poławianie wielorybów na północy prawie już ustało. Ztąd mnóstwo okrętów rocznie wypływa na południe, gdzie zapewne w krótkim czasie poczynią takie same spustoszenie, jak na północy. O tyle tylko przynosi poławianie wielorybów na południu korzyści dla nauki, że przez poławiaczy coraz pewniejsze dochodzą wieści o ładach podbiegunowych i coraz nowsze następują odkrycia.

Gatunkiem wieloryba, ale nie tak spokojnym, jak on, jest potfisz albo wielkogłó w (Physter macrocephalus). Francuzi zowią go cachelot, ztąd i po polsku zowią go kaczelotem, którą to nazwę i my zatrzymamy. Kaczelot jest podobnym do wieloryba z wyjątkiem głowy, która jest potwornie wielką i stanowi prawie połowę całego ciała. Zwierzę to wygląda jakby było przez połowę przecięte, albowiem łeb jest, grubszy od środka i zupełnie stromo zakończony. Dolna szczęka stósunkowo mała, wąska, zaopatrzona jest 30—50 kłami, które podczas zamknięcia wpadają w odpowiednie kościste jamy bezzębnej górnej szczęki. Niżej oczu ma pletwy, przy których delikatniejsza skóra z łatwością grot przepuszcza; tymczasem wszystka inna skóra jest tak twardą, że trudna jest zranić zwierza

harpuną. Ma tylko jedną pryskawkę, czyli otwór do wyrzucania z siebie wody połkniętej. Dorasta 60 stóp długości, a można z niego więcej tranu wytopić, aniżeli z wieloryba. Słonię ma na $\frac{1}{2}$ łokcia grubą; tran jest czysty, przezroczysty, w lampach pali się jasno i nie wydziela nieprzyjemnej woni.

W głowie kaczelota znajduje się pełno komórek napełnionych białą olejowatą tłustością zwaną spermaceti; z niemiecka zowie się owa tłustość walrat. Ciecz ta dopóki znajduje się w ciele zwierzęcia jest olejowato-płynną; oczyszczona nabiera twardości wosku. Używają spermaceti na smarowidło do machin i wozów, a w Ameryce leją nawet z niego świece.

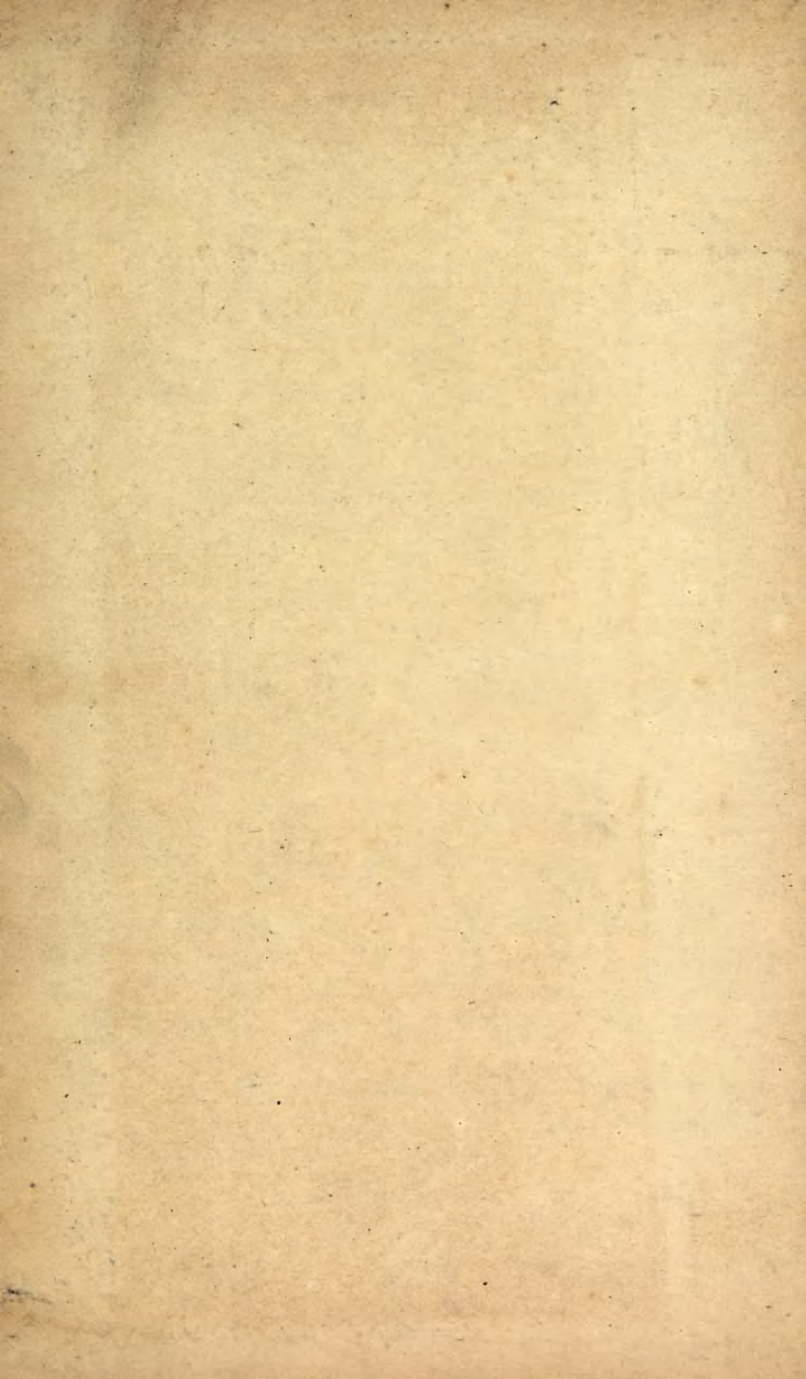
Prócz walratu znajdują w kaczelocie słynne ambra. W starożytności było to najprzedniejszém kadzidłęm. Znajdują je w zastawach kiszek zwierzęcia, a najczęściej natrafia się na pływające na powierzchni, albo przyczepione do skał nadbrzeżnych. Naturaliści sądzą, że to jest rodzaj wosku, tłuszczowego, utworzonego w ciele zwierzęcia z pachnących zwierzątek mikroskopicznych.

Cała więc kula ziemską nie jest bez życia, a jak w tropicznych okolicach lądy przewyższają morze rozmaitością roślin, tak w okolicach zimnych przewyższa morze lądy tak usilnością, jak i wielkością zwierząt. Na lądach w tropicznych okolicach żyją olbrzymy, jako to słoń, tapir, struś, boa; morze zaś w strefach zimnych żywi w sobie wieloryby, kaczeloty, foki, roby i pingwiny.

Tak więc nie ma miejsca na ziemi, któreby nie pokazywało życia, a szczególnież Pan Bóg przeppełnił oceany życiem wszelkiego rodzaju.







8894/4/83

400



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000229839



I 447879

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000229841



I 447879

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000229843



I 447879